

informer

GDANSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

NR 276
marzec 2012



ISSN 1505-8476



9 771505 847001

DRUGI WSTĘPNIAK LĘBORSKI (MOŻE RACZEJ: PRAWIE-LĘBORSKI)

Już sporo czasu temu Shaman zapytał mnie, czy udostępniłbym nieco komiksowych plansz oraz czy wygłosiłbym prelekcję o fantastyce grozy na imprezie w Lęborku. Oczywiście zgodziłem się; gdy zresztą lęborczenie zwrócili się do mnie w sprawie Lewkonu (o którym pisałem w #275) – byłem pewien, że chodzi o tę właśnie imprezę.

Jednak nie: sprawa AlterNacji skryształizowała się, po mejlu od Rinaldo, pod koniec lutego – w ten sposób miałem realne szanse raz za razem odrobić moje wieloletnie lęborskie zaległości.

Wystawa tym razem zaplanowana była nie w bibliotece, lecz w muzeum. By nie powtarzać się – powyciągałem rozmaite, często i przeze mnie częściowo zapomniane, plansze komiksowe: barwną parodię klasycznej trylogii *Gwiezdných wojen* w konwencji dziecięcej gry z kostką i pionkami, narysowany swego czasu do szuflady jednoplanszowy żart nt. *Czasu Apokalipsy* z Sowietami w Afganistanie, stworzony po którejś Nocy Muzeów minikomiks z kośćmi Wejhera i pieskiem turystki, zamieszczoną stosunkowo niedawno w „Informatorze” humoreskę o Cameronie, „Titanicu” i ingerencji w przeszłość, turystyczny komiks o Wejherowie stworzony wspólnie z Olą Spanowicz, Tomkiem Meringiem i Bartkiem Glazą – co miało korespondować z całkiem świeżym albumem, jakim promuje się Lębork; z plansz „wampiurzych” wybrałem te, gdzie w tekstach znajdowały się parodystyczne nawiązania do postaci i miejsc z lovecraftowskiego uniwersum. Materiały te wystąpiłem poleconą przesyłką na adres muzeum; nie przypuszczałem nawet, iż nie będzie mi dane ujrzeć efektu...

Prelekcję zaplanowałem w oparciu o klasyczny podział fantastyczności stworzony ongiś przez Rogera Caillois. Polega on na tym, iż w baśni element fantastyczny jest dla bohaterów czymś oczywistym (nie ma różnicy statusu między wilkiem a smokiem, między furmanką a latającym dywanem); w fantastyce grozy element fantastyczny jest zwykle tak samo obcy bohaterom jak nam (wampir czy zombiak przeraża nie tylko dlatego, że jest krwiopijną lub mózgojadem, ale też – a może przede wszystkim dlatego! – że, według naszej wiedzy, nie ma on prawa istnieć); w science fiction spójność świata przedstawionego zostaje przywrócona (gdyż pojawiający się element fantastyczny zyskuje uzasadnienie „naukowe”). Zilustrować to chciałem licznymi przykładami z literatury i filmu; szczególnie zaś twórczością Lovecrafta – z jego „zapomnianą” lub „odrzuconą” historią ziemskiego życia.

Prelekcja i wernisaż przewidziane były na piątek 9 marca (godz. 18:00). Wprawdzie w przeddzień wieczór wyjeżdżałem z Zakopanego po kilkudniowej delegacji – jednak pociąg pośpieszny (sic!) miał dojechać do Gdyni wczesnym popołudniem. Zdążyłbym przesiąść się na SKM, przebrać i ogolić w domu, spokojnie złapać połączenie do Lęborka. Ale... zanim dojechalibyśmy do Krakowa – zebraliśmy godzinę opóźnienia, między Krakowem a Warszawą – drugą, do Trójmiasta ubierała się trzecia. A TLK nie jechał magistralą (gdzie parę dni wcześniej doszło do tragicznej katastrofy), lecz przez Kielce i Radom. Cały czas byłem w SMS-owej łączności z Shamanem. Nawet zaświatała nadzieja, że złapię ostatnią możliwą SKM-kę (przyjechałbym wprost z podróży, nieogolony i z bagażem), lecz ponadpółgodzinny postój na wysokości Orłowa odebrał ostatnią szansę. Rinaldo zaproponował wprawdzie przesunięcie prelekcji (na później lub na sobotę), lecz mnie to nie urządziło: już nazajutrz miałem ważne zobowiązania na gdańskim Starym Mieście; zresztą wracając w środku nocy z Lęborka – bo połączeń kolejowych o tej porze nie ma zbyt wiele! – prawdopodobnie padłbym fizycznie.

Za tę moją nieobecność wszystkich Zainteresowanych najmocniej przepraszam; naprawdę chciałem być – i do prawie końca liczyłem, że jednak się uda!

W delegację wziąłem ze sobą, wygrane na Nordconie, opowiadania Grabińskiego. Trochę dziwnie przypominało się te kolejowe; zwłaszcza że w tamtą stronę nasz ekspres jechał, wyłączoną częściowo, magistralą. Z powrotem zaś tytuł zbioru (*Demon ruchu*) brzmiał jak ironia. Przeczytawszy całość – chciałem i parę przykładów z polskiego klasyka (często nie gorszego od Kinga!) włączyć do prelekcji. Nie było mi to jednak dane przez los i PKP...

URODZINY

Kochani Urodzeńcy!

Różnym ludziom kwiecień się różnie kojarzy...

Ale nam - przychodzą teraz na myśl
wyłącznie Wasze Urodziny!

INFOredakcja

2 Andrzej Lisowski	13 Sebastian Tokarski
Jerzy Miksza	14 Ka rol Wojczekowski
3 Marcin Mierzejewski	15 Krzysztof Ciszewski
4 Krzysztof Leszczyński	17 Jan Formela
Angelika Wielkusz	Bartosz Karla
5 Jacek Gdaniec	20 Piotr Rozenfeld
7 Krzysztof Napiórkowski	Sławomir Zaremba
9 Sylwia Chołota	24 Joanna Szwankowska-Rozenfeld
10 Michał Błażejowski	25 Jarosław Białkowski
Beata Słoń	28 Robert Kotlarek
12 Wojciech Wielgos	29 Joanna Domańska
13 Maria Tańska	



P.S. Tradycyjnie, jak co roku, składamy Grażynie Modzelewskiej spóźnione pozdrowienia urodzinowe (8 marca) i, jak co roku, obiecujemy, iż się to więcej nie powtórzy.



Ogólne zasady pozostają bez zmian (jak w poprzednim roku):

- wskazując wybraną przez siebie organizację pożytku publicznego podatek nie będzie już zobowiązany podawać jej nazwy – wystarczy, że poda jej numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego;
- organizacje pożytku publicznego szybciej niż dotychczas będą otrzymywały pieniądze z 1%. Od 2011 r. naczelnicy Urzędów Skarbowych są obowiązani przekazywać kwoty 1% podatku na rachunek bankowy organizacji już w okresie od maja do lipca;
- podatek składa deklarację podatkową do:
 - 31 stycznia 2012 – rozliczający się ryczałtowo
 - 30 kwietnia 2012 – pozostali podatnicy
- korektę deklaracji podatkowej złożyć można do miesiąca po terminie wskazanym powyżej.

Deklaracja podatkowa (PIT) zawiera dwa pola, które są niezbędne by przekazać 1% rocznego podatku. W pola te wpisać należy:

- numer KRS organizacji, tj. w przypadku GKF – 0000098018
- przekazywaną kwotę, która nie może przekroczyć 1% podatku.

W kolejnym polu podatek może (ale nie musi) wskazać konkretny cel, na który 1% ma zostać przekazany. Podatek zaznacza następne pole, jeżeli chce, aby jego dane osobowe (imię nazwisko, adres, kwota 1%) zostały przez Urząd Skarbowy przesłane do OPP. W następnym polu podatek może wpisać swoje dane dodatkowe (telefon, adres mailowy).

	Nr KRS: 0000098018	1% obliczonego podatku (z zaokrągleniem do pełnych dziesiątek groszy w górę)	Cel szczegółowy	Zgoda na podanie danych	Dane dodatkowe
PIT 28	pole 126	pole 127	pole 128	pole 129	pole 130
PIT 36	pole 301	pole 302	pole 303	pole 304	pole 305
PIT 36L	pole 104	pole 105
PIT 37	pole 122	pole 123	pole 124	pole 125	pole 126
PIT 38	pole 57	pole 58	pole 59	pole 60	pole 61



XIX MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FANTASTYKI

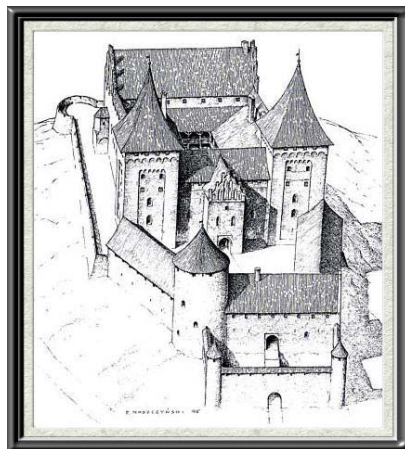


TERMIN 21-24 czerwca 2012 r.

MIEJSCE Zamek w Nidzicy;
Ośrodek InterPiast w Kalborni;
Hotel Gawra w Wiknie

GOŚCIE ZAGRANICZNI

David Weber Nik Pierumow



GOŚCIE POLSCY

Tomasz Bochiński, Robert Foryś, Jarosław Grzędowicz, Jacek Ingot,
Miroslaw Piotr Jabłoński, Lech Jęczmyk, Jacek Komuda, Rafał Kosik,
Maja Lidia Kossakowska, Robert Letkiewicz, Dominika Oramus, Marek Oramus,
Andrzej Pilipiuk, Maciej Parowski, Marcin Przybyłek, Andrzej Sapkowski,
Andrzej Zimniak

KOSZTY

Warunkiem rezerwacji miejsca na 19. Festiwal jest wpłacenie opłaty akredytacyjnej na konto Fundacji "Solaris" (dane poniżej), koniecznie z dopiskiem DAROWIZNA (inne wpłaty będą zwracane)

Akredytacja – 160 zł od osoby (z opłat tych są zwolnione osoby do lat 15).

Hotel Kalbornia – 195 zł od osoby (3 doby hotelowe ze śniadaniem stół szwedzki, full wypas – dzieci do lat 7 nie płacą za hotel, tylko mniejszą stawkę śniadaniową, 15 zł).

Za hotel można także zapłacić zaraz po przyjeździe, w recepcji festiwalowej. Jeżeli ktoś potrzebuje faktury – wystawiamy.

Akredytacja obejmuje:

- ◆ transport autokarem od Zamku do hotelu i z powrotem przez cały czas trwania, festiwalu (odjazd rano po śniadaniu, powrót po ostatnich imprezach na Zamku),
- ◆ ognisko z pieczoną kiełbasą w czwartek – w hotelu, w miejscu biesiadnym,
- ◆ grillowanie w piątek na dziedzińcu zamkowym,
- ◆ biesiadę mazurską w sobotę – w hotelu, w miejscu biesiadnym,
- ◆ materiały konwentowe (znaczkki, identyfikatory, programy itd.).

Dzieci i młodzież do lat 15 zwolnione z opłat akredytacyjnych i za biesiadę.

W razie gdy skończą się miejsca hotelu w Kalborni – kwaterujemy w Gawrze. Jeżeli tam skończą się miejsca – pozostaną kwatery prywatne w Nidzicy (ok. 1 km od Zamku) oraz sam hotel zamkowy – te można rezerwować we własnym zakresie:

www.hotelgregoriovus.pl.

W PROGRAMIE RÓWNIEŻ :

WYSTAWA

Autorem prac, które będzie można podziwiać w Galerii Pod Belką, jest Maciej GARBACZ. Tematyka kosmiczna, 3D.

Dodatkową atrakcją będzie wystawa fotografii z ostatnich dwóch wypraw SOLARIS TRAVEL, która zawiśnie w księgarni.

KONCERTY

Wielką atrakcją będzie koncert muzyki elektronicznej Roberta Letkiewicza. Specjalne kompozycje utrzymane w klimatach "Wangelisowo-Zarowych" i w asyście chóru – na pewno poruszą nawet zatwardziały przeciwników takiej muzyki.

Drugim zespołem będzie grupa grająca gothic rock; kwalifikacje trwają.

FILMY

Rozszerzona będzie akcja – po zeszłorocznym sukcesie – pod nazwą W Starym Kinie. W programie sporo unikalnych filmów.

EURO

Kibicom piłki nożnej zapewnimy wieczorami w hotelu telebim z transmisjami meczów. Już niejedne mistrzostwa odbywały się w trakcie festiwali (taki termin), więc mamy to opracowane.

KONTO Fundacji (z dopiskiem DAROWIZNA):

Bank PEKAO SA Olsztyn, 22 1240 1590 1111 0010 0898 6288

Pamiętajcie o dopisku DAROWIZNA, podawajcie też wasz e-mail – potwierdzimy nań wpłynięcie akredytacji.

KONTAKT z Fundacją "Solaris": listownie – Fundacja "Solaris", 11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A; mejlowo – fundacja@solaris.net.pl; telefonicznie pn-pt 8-15.00 – 089 5413117

Tak się bawi, tak się bawi (przyszły) GKF!

W ostatnią niedzielę karnawału GKF zorganizował nowy rodzaj imprezy: bal karnawałowy dla przedszkolaków. Chociaż zdrowie nie dopisało – na imprezę przybyło tylko sześcioro dzieci (o pięciu nazwiskach) – to jednak zabawa była przednia. Dzieci uczestniczyły w grach i zabawach pod okiem pań animatorek, a rodzice mogli odbyć spotkanie klubowe – była dyskusja o Nordconie, składkach, fantastyce, a nawet kilka partyjek Abalone.

Kolejna impreza przewidziana na czerwiec. Chętni proszeni są o skontaktowanie się Cetim (ceti@data.pl).

Ceti



Dział Gier Strategicznych → reaktywacja!

W niedzielę 11 marca odbył się Drugi Pomorski Turniej INFINITY zorganizowany przez Kędziora. Frekwencja dopisała bardziej niż na pierwszym turnieju (9 zamiast 6 osób). Pierwsze miejsce zajął Mirage, a drugie i trzecie odpowiednio: Bzyku i Rang3r (minimalną różnicą punktów).

Należy mieć nadzieję, że wzrost frekwencji utrzyma się – i w następnym turnieju udział weźmie już dwucyfrowa liczba graczy.

Faraon



BOŻE IGRZYSKO – LARP

Pamiętam pewne wydarzenie sprzed sześciu lat, gdy na poznańskim konwencie Pyrkon szukałem sali prelekcyjnej, gdzie miał się odbyć panel dyskusyjny poświęcony literaturze fantastycznej. Wówczas jeszcze interesowały mnie pogadanki o przyszłości fantastyki, o głębokich treściach, jakie powinny zawierać teksty, o misji autorów w kreowaniu rynku w Polsce. Słowem – przeintelektualizowane bzdury, z których się wyrasta.

Świetnie radzę sobie w terenie. Nigdy nie gubię się w lesie czy w górach, w nocy zawsze odnajdę właściwą drogę, lecz gdy tylko trafię do zamkniętej, betonowej przestrzeni, gdzie nie widać położenia słońca ani gwiazd na niebie, całkowicie tracę orientację. W olbrzymiej szkole, w labiryncie korytarzy byłem niczym przysłowiowe dziecko we mgle. Trudno się więc dziwić, że zamiast do sali prelekcyjnej trafiłem do piwnic.

Niepewnie stąpałem naprzód w nadziei, że zaraz ukaże się cel mojej wędrówki, ale im dalej się posuwałem, tym ciaśniejszy był korytarz, tym większy mrok. W pewnej chwili spojrzałem pod nogi i w nikłym świetle sączącym się z luźno zwisających na kablach żarówek spostrzegłem, że stoję na namalowanym na czerwono pentagramie. Nagle z cienia wynurzyły się mroczne postacie o trupiobladych obliczach, ubrane w szykowne stroje, okazałe płaszcze. Przełknąłem ślinę obawiając się najgorszego. Podeszła do mnie urocza istota o ślicznych, długich kłach, zmarszczyła groźnie czoło i rzekła:

– Tu odbywa się LARP!

Od tamtej pory dręczyłem się pytaniem: co to jest ten LARP? Wiedziałem oczywiście, że to pochodna RPG, tylko zamiast używać kostek, odtwarza się pewne sceny. Połączenie teatru i gry – tak to sobie wyobrażałem. Przez następne lata, jeżdżąc po wszelkiego rodzaju konwentach, z uwagą przyglądałem się przebiegającym

i zastanawiałem się, jak to jest w czymś takim uczestniczyć. Aż pewnego dnia Krzysztof „Shaman” Chmielewski zaprosił mnie na LARP-a „Boże igrzysko”.

Zaczęły się przygotowania. Przypadła mi rola Jerzego – statecznego ojca rodziny, którego córka pragnie wyjść za mąż. Dopracowałem postać, skonsultowałem ją z prowadzącym i odbyłem spotkania prequelowe.

Finał, a tym samym zasadnicza część LARP-a, odbyła się w nowej filii GKF-u we Wrzeszczu. Scenerią był ślub oraz wesele Asi i Tomka. Asia to młoda dziewczyna cierpiąca na niedowład nóg. Należy do znamienitej rodziny Pac-Wolińskich, intelektualistów cieszących się poważaniem w całym mieście. Jej wybranek natomiast jest synem... gangstera. Jak łatwo się domyślić – rodzice żadnej ze stron nie byli zachwyceni tym małżeństwem. Jednakże myli się ten, kto myśli, że to kolejna kalka z „Romea i Julii”.

Nie będę tutaj zdradzał rozwiązań fabularnych, wszystkich intryg i gier, jakie każdy z uczestników prowadził, gdyż może niektórzy z was będą mieli okazję uczestniczyć w „Bożym igrzysku”, więc nie chcę psuć zabawy. Wspomnę tylko, że pojawiają się tam wątki kryminalne, obyczajowe, okultystyczne, a nawet mistyczne. A wszystko to polane sosem onirycznej, psychodelicznej groteski. Miłośnicy twórczości Witkacego i formy teatralnej Grotowskiego nie będą zawiedzeni.

„Boże igrzysko” nie jest zwykłą grą. Tutaj nie ma współczynników, cech, testów, nie ma nawet konkretnych reguł. To żywy teatr, drama. Nie chodzi o to, żeby wygrać, w momencie gdy zaczyna się LARP to przestaje mieć znaczenie. Tutaj chodzi o to, żeby coś przeżyć, poczuć emocje, przez chwilę wcielić się w postać zupełnie nam obcą.

Obca? Czy aby na pewno?

Wchodząc w rolę – nie możemy tak naprawdę wyzbyć się nas samych: osobowości, charakteru, doświadczenia. Swoich zalet i wad. Dzięki dramacie możemy zaobserwować siebie w różnorodnych sytuacjach, zbadać swoje reakcje, emocje. Niektórym z nich możemy dać upust, wyrzucić je z siebie, oczyścić się w swoistym katharsis. Na inne spojrzeć z dystansem, przyjąć je, a potem przeanalizować. LARP jest to również świetna forma warsztatów umożliwiających przećwiczenie zachowań, których w prawdziwym życiu wstydzimy się lub boimy. Możemy skonfrontować się z własnymi obawami, lękami, a także sprawdzić siebie w relacjach interpersonalnych. Ale przede wszystkim „Boże igrzysko” to doskonała zabawa.

Muszę się przyznać, że przez połowę LARP-a nie potrafiłem się odnaleźć, cały czas zastanawiałem się, jak powinienem zagrać daną scenę, a nie dopuszczałem do głosu emocji. Nastawiony byłem bardziej na rozwiązywanie kwestów niż na odczuwanie. Potem było lepiej, otworzyłem się. Jednakże z perspektywy czasu uważam, że powinienem podczas gry pójść w innym kierunku, kierować się tym, co podpowiadał mi instynkt, a nie rozum. Mam nadzieję, że następnym razem będzie lepiej.

Po LARP-ie miałem okazję rozmawiać z osobami, które już w nim uczestniczyły w innej edycji „Bożego igrzyska” – i okazuje się, że za każdym razem przebiega on inaczej. Inne rozwiązania fabularne, inne relacje między postaciami, niezwykle sojusze bądź animozje. Można więc rzec, że to, co wnosimy do gry, potem w niej otrzymujemy.

Słów kilka o scenografii i charakteryzacji. „Boże igrzysko” daje w tym względzie duże pole do popisu, wszak tematem przewodnim jest ślub i wesele. Panna młoda miała na sobie śnieżnobiałą suknię ślubną i wyglądała ślicznie, goście byli ubrani odświętnie, a na stole stały pyszne zakąski, a nawet kieliszki z... wodą.

LARP odbył się w niedzielę 4 marca i trwał kilka godzin. Prowadził go Krzysztof „Shaman” Chmielewski, który nakręcał konflikty, reżyserował intrygi i mieszał w głowach uczestników niemal cały czas. No cóż, takie zadanie Mistrza Gry. A poza tym przydomek do czegoś zobowiązuje.

Świetnie się bawiłem, poznałem fantastycznych ludzi i sporo doświadczyłem. To był dobrze spędzony czas.

Darek Domagalski

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Uzupełnienie marca 2012

ŚCIEŻKA SZTYLETÓW (PATH OF DAGGERS) – ROBERT JORDAN

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 13 marca 2012. Wznowienie

NOWA NADZIEJA (A NEW HOPE) – GEORGE LUCAS

Wydawca: Amber. Data wydania: 13 marca 2012. Wznowienie

GORMENGHAST (GORMENGHAST) – MERVYN PEAKE

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Data wydania: 15 marca 2012. Wznowienie

IGRZYSKA ŚMIERCI (THE HUNGER GAMES) – SUZANNE COLLINS

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 21 marca 2012. Wznowienie

KLUCZ (THE KEY) – MARIANNE CURLEY

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 21 marca 2012

ODRODZENIE ZIEMI (EARTHFALL) – ORSON SCOTT CARD

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 27 marca 2012

ŁOWCA ŻŁODZIEI (THIEF-TAKER'S APPRENTICE) – STEPHEN DEAS

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 22 marca 2012

ODLEGŁE RUBIEŻE. KRYPTONIM BURZA – VLADIMIR WOLFF

Wydawca: Ender. Data wydania: 22 marca 2012

REVAN (REVAN) – DREW KARPYSHYN

Wydawca: Amber. Data wydania: 29 marca 2012

WICHROWATE LINIE – STEFAN GRABIŃSKI

Wydawca: Agharta. Data wydania: marzec 2012

I JESZCZE JEDNO... (AND ANOTHER THING...) – EOIN COLFER, DOUGLAS ADAMS

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: marzec 2012

KŁAMCA 4. KILL'EM ALL – JAKUB ĆWIEK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: marzec 2012

CZAS OGNI, CZAS KRWI – MARCIN RUSNAK

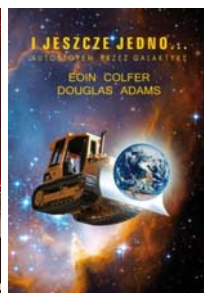
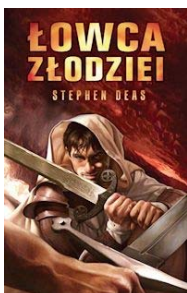
Wydawca: Ifryt. Data wydania: marzec 2012

SENNE PAŁACE – SEBASTIAN UZNAŃSKI

Wydawca: Ifryt. Data wydania: marzec 2012

CONAN BARBARZYŃCA (CONAN THE BARBARIAN) – ROBERT E. HOWARD

Wydawca: Rea. Data wydania: marzec 2012



Wstępnie w kwietniu 2012

KSIĘŻYC PRAWDOPODOBIENSTWA (PROBABILITY MOON) – NANCY KRESS

Wydawca: Almaz. Data wydania: 2 kwietnia 2012

TRON SZARYCH WILKÓW (THE GRAY WOLF THRONE) – CINDA WILLIAMS CHIMA

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 4 kwietnia 2012

NIUCH (SNUFF) – TERRY PRATCHETT

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 10 kwietnia 2012

IMPERIUM KONTRATAKUJE (THE EMPIRE STRIKES BACK) – DONALD F. GLUT

Wydawca: Amber. Data wydania: 10 kwietnia 2012 Wznowienie

451° FAHRENHEITA (FAHRENHEIT 451) – RAY BRADBURY

Wydawca: Solaris. Data wydania: 17 kwietnia 2012. Wznowienie

DZIEWIĄTY MAG – A.R. REYSTONE

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: 18 kwietnia 2012

PRZEBUDZONY MAG (THE AWAKENED MAGE) – KAREN MILLER

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 18 kwietnia 2012

OSZUKANI (DECEIVED) – PAUL S. KEMP

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 kwietnia 2012

UCZTA DUSZ (FEAST OF SOULS) – C.S. FRIEDMAN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 19 kwietnia 2012

RAKIETOWE SZLAKI. TOM 5

Wydawca: Solaris. Data wydania: 19 kwietnia 2012

WWW: PRZEBUDZENIE (WWW: WAKE) – ROBERT J. SAWYER

Wydawca: Solaris. Data wydania: 24 kwietnia 2012

SMOCZA DROGA (THE DRAGON'S PATH) – DANIEL ABRAHAM

Wydawca: Ars Machina. Data wydania: 25 kwietnia 2012

SILENTIUM UNIVERSI – DARIUSZ DOMAGALSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: kwiecień 2012

POCZĄTEK KOŃCA (IL PRINCIPIO DEL FIN) – SUSANA VALLEJO

Wydawca: Jaguar. Data wydania: kwiecień 2012

BOHATEROWIE (THE HEROES) – JOE ABERCROMBIE

Wydawca: MAG. Data wydania: kwiecień 2012

OKALECZONY BÓG. TOM 2 (CRIPPLED GOD) – STEVEN ERIKSON

Wydawca: MAG. Data wydania: kwiecień 2012

PRAWO CAINE'A (CAINE'S LAW) – MATTHEW WOODRING STOVER

Wydawca: MAG. Data wydania: kwiecień 2012

WYPRAWA DO IMPERIUM MROKU (INTO A DARK REALM) – RAYMOND E. FEIST

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2012

WYZNANIA ŁGARZA (CONFESSIONS OF A CRAP ARTIST) – PHILIP K. DICK

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2012

GOLIAT (GOLIATH) – SCOTT WESTERFELD

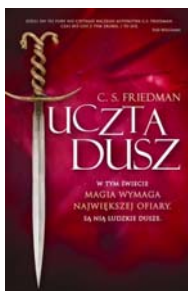
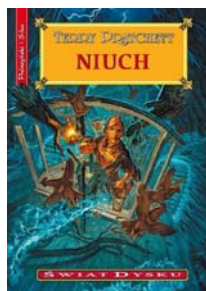
Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2012

KONGRES FUTUROLOGICZNY – STANISŁAW LEM

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Data wydania: kwiecień 2012

SOLARIS – STANISŁAW LEM

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Data wydania: kwiecień 2012

Na podstawie serwisów: Esensja.pl, Katedra.nast.pl, Solarisnet.plprzygotował *Janusz Piszczek*

NIUSY

WYWIAD NA ĆWIERĆWIECZE STOWARZYSZENIA



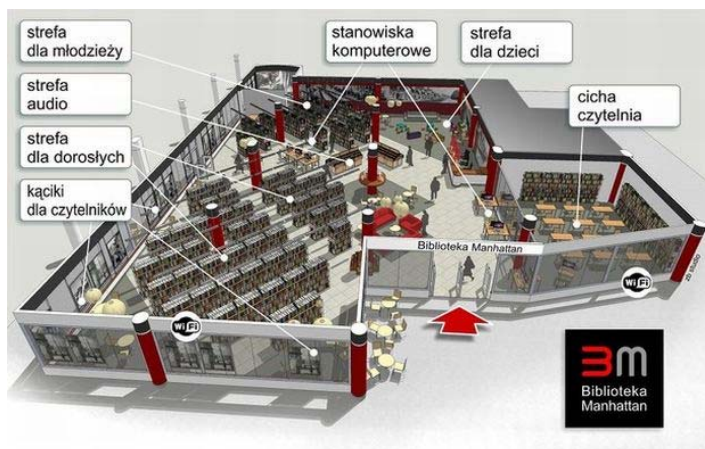
W „Dzienniku Bałtyckim” z dnia 25 lutego ukazał się wywiad redaktor (redaktory?) Darii Jankiewicz z Tomaszem Hogą – prezesem Gdańskiego Klubu Fantastyki.

jpp

RUSZYŁA GDAŃSKA MEDIATEKA

Książki, komiksy, płyty, multimedia – to równie zróżnicowana co ogromna oferta Biblioteki Manhattan, pierwszej na Pomorzu mediateki otwartej w jednym z wrzeszczańskich centrów handlowych. Uroczyste otwarcie odbyło się 9 i 10 marca; wśród gości-prelegentów znaleźli się m.in. Andrzej Pilipiuk i Jerzy Szytak, zaś pokaz strategicznych gier planszowych zaprezentowało Gdańskie Stowarzyszenie Fantastyki „Alkor”.

jpp



KULTURALNO-NOCNY KOSIK W TVP2

W niedzielę 11 marca, niecałą godzinę przed północą, gościem cyklicznego programu „Wszystko o kulturze” był Rafał Kosik, który opowiadał o antologii *Głos Lema*, o swoich książkach, o zbliżającej się premierze filmu z Felixem, Netem i Niką...

wg: www.gildia.pl



POWSTAJE RODZIMA ENCYKLOPEDIA FANTASTYKI

Poważnie zaawansowane są prace Wojtka Sedeńki nad *Encyklopedią fantastyki*. Pod koniec czerwca, na Festiwal Fantastyki w Nidzicy, powinno być gotowych 7-8 tysięcy haseł oraz ukończony *Leksykon polskich autorów*. Oficjalne otwarcie powinno nastąpić podczas Polconu we Wrocławiu.

wg: www.gildia.pl

SUPERSERIAL ANULOWANY

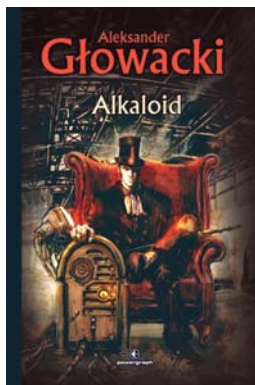
W telewizyjnym serialu *Terra Nova* (sygnowanym przez samego Stevena Spielberga) pokładano wielkie nadzieje – jednakże najdroższa tego typu produkcja ostatnich lat okazał się całkowitą porażką; widzów rozczarowały kiepskie efekty specjalne oraz prymitywna fabuła. Nic dziwnego, iż stacja Fox wydała oficjalną informację o anulowaniu serialu; niestety (a może dla kogoś „stety”?) zaraz pojawiły się doniesienia, że drugi sezon może jednak powstać, choć za sprawą zupełnie innej stacji.

wg: www.gildia.pl

GRABIŃSKI WRESZCIE NA FALI

W 125. rocznicę urodzin Stefana Grabińskiego krakowskie wydawnictwo Agharta przygotowało antologię z reguły niepublikowanych po wojnie opowiadań i tekstów krytycznych tego autora – zatytułowaną *Wichrowate linie* (z okładką przywodzącą na myśl filmowy ekspresjonizm niemiecki). Według założeń wydawcy ma to być pozycja przełomowa, gdyż większość zabranych w niej tekstów jest w ogóle nieznaną współczesnym czytelnikom (pierwodruki ukazywały się przed wojną w różnych czasopiśmie, zaś sam pisarz nie doczekał się za życia ich zwartej edycji). Będzie też stanowić uzupełnienie *Demonu ruchu*, wydane niedawno przez Zyska i S-kę.

jpp



ALTERNATYWNA FANTAZJA Z LALKĄ W TLE

Gdyby Stanisław Wokulski zachował się jak kupiec, a nie jak romantyk i – zamiast wzdychać do Izabeli Łęckiej – zajął się wielkimi interesami i eksperymentami naukowymi? Debiutujący *Alkaloidem* pisarz, ukrywający się pod pseudonimem Aleksander Głowacki (prawdziwe imię i nazwisko Bolesława Prusa), swoje dzieło określa mianem chempunku. To nie tylko powieść akcji, walk rodem z *Matrixa*, w scenerii znanej z komiksu i filmu *Liga Niezwykłych Dżentelmenów* – lecz przede wszystkim literacka gra z klasyczną powieścią polską oraz historią alternatywną. Na jej podstawie powstaje powieść graficzna, która ma się za rok ukazać w Japonii.

wg: www.gildia.pl

ODSZEDŁ JEDEN Z ARCYMISTRZÓW KOMIKSU

10 marca, w wieku 73 lat, zmarł francuski rysownik Jean Giraud – lepiej znany jako Moebius.

jpp



DYSKUSJA W ROCZNICĘ JAPOŃSKIEJ TRAGEDII

Wspomnienie po silnym trzęsieniu ziemi i ogromnej fali tsunami oraz poważnym uszkodzeniu elektrowni jądrowej – stało się początkiem kolejnych dyskusji o przyszłości światowej energetyki.

jpp

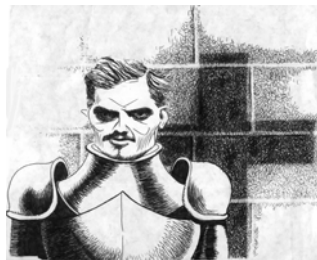
Okruchy Ogana

Korespondencja nr 29

Kilka uwag na marginesie *W ciemności...*

Historia lwowskiego inspektora kanałów miejskich i złodziejzka Leopolda Sochy, która zainspirowała Agnieszkę Holland do nakręcenia filmu *W ciemności*, jest dowodem na to, jak pokręcone potrafią być ludzkie losy i jak cienka bywa granica między zaprzaństwem a bohaterstwem. Co prawda obraz Holland nie dostał Oscara (ciekawe, czy rzeczywiście był to triumf lobby antyholocaustowego), ale sprawa ratowania Żydów na ziemiach polskich pod okupacją niemiecką nadal budzi emocje. Generalnie dominuje przekonanie, że żydowskich sąsiadów uratowano za mało. Z drugiej jednak strony ustawodawstwo niemieckie nie dawało szans na przeżycie ani jednemu przedstawicielowi tego narodu w podbitej Europie. Wobec powyższego, a zwłaszcza ze względu na karanie śmiercią rodzin polskich (i innych podludzkich nacji) ukrywających Żydów, każdy ocalony był i tak kpiną z niemieckiej maszyny zagłady i wielkim zwycięstwem życia nad śmiercią. W ogóle tu już nie wspominać o tym, że Słowianie w planach Hitlera byli następnymi w kolejce do unicestwienia, no może po Cyganach.

Ważnym problemem związanym z holocaustem jest rzekomy wrodzony polski antysemityzm będący pochodną ludowego katolicyzmu. Tezy o tym, że sprzyjał on wydawaniu i mordowaniu Żydów (że o „polskich obozach koncentracyjnych” nie wspomnę), nie da się skutecznie bronić. Wobec warunków bytowych pod okupacją, a zwłaszcza w obliczu zagrożenia własnego życia, wymaganie od tamtych ludzi heroizmu, którego w stosunku do samego siebie nikt dzisiaj nie może być pewny (powszechne domaganie się prawa do aborcji i eutanazji jest najjaskrawszym dowodem, że obecnie nikt nie zamierza poświęcać własnej wygody nawet dla nienarodzonego potomstwa czy ciężko chorych krewnych – a zatem ludzi znacznie bliższych sobie niż tamci często nieznanymi sąsiedzi), jest wysoce niestosowne. Ale ta niekonsekwencja



współczesnego dyskursu (wymagać od innych – zwłaszcza tych, których się nie uważa – tego, czego nie wymaga się od siebie) to znak naszych czasów, czasów nieprawdopodobnego wręcz egoizmu i niczym niepokromionej infantylności.



Film Holland, mimo że odfiltrowany z religijnych motywacji poczynań Sochy, porusza jednak kwestie relacji katolików do Żydów. Najważniejsza wydaje się tu być rozmowa Poldka z żoną, w której padają ważne słowa, że Bóg pokara tych, co wydają Żydów Niemcom. To przełomowy moment dla Sochy, który od tej chwili angażuje się całkowicie w pomoc „swoim Żydom”. Do tego stopnia, że kiedy w dniu Pierwszej Komunii jego jedynej córki rozpętuje się ulewa, on prosto z kościoła biegnie do kanału, by wyprowadzić ocalałych na wyższej położone korytarze. O tym, że nie przestaje pomagać Żydom po tym, jak im się skończyły pieniądze, nawet nie wspominać (według ich relacji, Socha okradał Niemców, by kupować dla nich jedzenie). To, że przed Paschą przyniósł im macę, wydaje się już w ogóle mało ważne. A wszystkiego tego dokonał Polak, katolik i złodziej (relacje innych uczestników tamtych wydarzeń wspominają, że ratowanie Żydów było dla Sochy impulsem do nawrócenia i umocnienia swojej wiary). Trochę szkoda, że tych wątków w filmie zabrakło; w zamian zaś mamy bardzo przykrą uwagę wygłoszoną ponoć na pogrzebie

dzielnego lwowiaka, że jego śmierć (uratował córkę przed wpadnięciem pod koła sowieckiej wojskowej ciężarówki w 1946 r.) była karą za ratowanie Żydów. Mogę sobie niestety wyobrazić, że ktoś rzeczywiście tak bezmyślnie podsu-

wał heroizm Sochy – ale czy to właściwe memento dla filmu? Czy nie lepiej było pokazać ostatnią żyjącą z tamtej grupy? Ich przetrwanie było przecież prawdziwym efektem jego „roboty”.

... i *Makbeta* Verdiego w Państwowej Operze Bałtyckiej

Opera *Makbet* Verdiego w inscenizacji Marka Weissa miał swoją premierę 5.X.2010 roku w Gdańsku w ramach festiwalu *Solidarity of Arts*. Było to tego strasznego roku, kiedy tak dalece podzieliło się polskie społeczeństwo – i może opera Verdiego z librettem Piavego do dramatu Szekspira rzeczywiście była właściwym komentarzem do tamtych wydarzeń. Ale od premiery minęło 17 miesięcy i niektóre konteksty nie są już tak oczywiste, a poza tym Weiss wpisał historię szkockiego księcia w inne jeszcze ramy, w których tej operze zdecydowanie nie do twarzy.

Zacznę od oczywistości. Stanisław Tym żartował kiedyś, że statystyczny Polak chodzi do opery raz na bodajże 87 lat (a żyje niespełna 80), tymczasem ja – za sprawą swojej małżonki – zakpiłem sobie ze statystyk i na spektaklu operowym pojawiłem się trzeci raz w życiu, i to jeszcze przed czterdziestką!

Wielokrotnie wydziwiałem już na tych łamach na musical, zatem nie odpuszczę też operze. To jeden z najprzedziwniejszych gatunków scenicznych – jak charakterystyczne go wspomniany Tym: wszyscy śpiewają „idziemy”, a nikt nie rusza się z miejsca. Największym mankamentem spektaklu operowego jest w moim odczuciu jego skrajna umowność i opowiadanie o wydarzeniach śpiewami. Jeśli ktoś jest to w stanie zignorować – śmiało może się oddać kontemplacji zupełnie niezrozumiałych popisów wokalnych, bo nie dość, że po włosku (tłumaczenie wyświetla się nad sceną, ale albo się czyta tekst, albo obserwuje zachowanie śpiewaków), to na dodatek na takich diapazonach, że całość zlewa się w niewykształconym uchu w bezładny wizg. Trzeba mieć dużą tolerancję dla takich sensacji, aby spokojnie wytrwać do antraktu. Inną wadą opery jest brak teatralnych umiejętności solistów i chórzystów. Toż to drętwa i nuda, to wystawianie na scenie. Musical są w stanie uratować jeszcze sceny nieśpiewane, ale w operze cała gra aktorska sprowadza się do przemieszczania w dostojnych pozach

i zwolnionym tempie. Nic dziwnego, że to sztuka dla koneserów, takich jak goście hrabiny Kotłubaj, którzy potrafią się zachwycać smakiem kalafiora.

Co jeszcze nie urzekło mnie w gdańskim *Makbecie*? Inscenizacja! Opera w Gdańsku przyzwyczała już swoich widzów do awangardowych realizacji, które idą kompletnie w poprzek tradycji wystawiania spektakli operowych i baletowych. To prawda, że do tego typu poszukiwań zmuszają twórców skromne środki i niemożność pobudowania normalnej scenografii, uszycia odpowiednich strojów itp. itd (choć, kiedy jakieś 30 lat temu oglądałem tam *Halkę* i *Madame Butterfly*, takich problemów nie było). Ale przecież chyba do opery przychodzi się głównie po to, by pooglądać toalety diw i pozachwycać się wystawnością widowiska. Jeśli kto tego szuka, niech omija gdańską scenę z daleka. I tym razem zaserwowano widzom zupełnie współczesny sztafaż (rycerze łązili w wojskowych ciuchach z amerykańskimi karabinami w dłoniach; suknia Lady Makbet była co prawda śliczna, ale głównie swą skromnością i miała zupełnie współczesny krój). Głównym elementem scenografii był ruchomy kontener, który grał a to studnię, a to katafalk, a to stół – i cokolwiek było trzeba. No, litość i trwoga! Ale najlepsze czekało na widzów w ostatnim akcie, bo oto ukazała się nam Brama Stoczni i Pomnik Trzech Krzyży – symbole robotniczego buntu lat 80. XX wieku. Tyle że w tym zestawieniu (w czasie strajku sierpniowego nie było jeszcze Pomnika przed Stocznią, za to był on w stanie wojennym i później w trakcie strajków w maju 1988 roku) naprawdę nie wiadomo, czemu one mają służyć (koło Krzyży spotykają się Makduf i Malkolm, by swoich popleczników przebrać za Las Birnam – w tej roli kwiaty na Bramie; w ich też cieniu odbywa się krótki pojedynek Makdufa z Makbetem). Nic nie zapowiadało takiego rozwiązania; i chociaż realizator tym się chełpi, to ja naprawdę nie wiem, dlaczego? Ale, jak już wcześniej pisałem, żelazna

niekonsekwencja to niepodważalna zasada współczesnego świata i trzeba chyba do niej przywyknąć. Tak czy siak, skoro się sięga po takie środki, to warto byłoby jakoś uzasadnić ich przywołanie i wpasować w historię zbyt ambitnego szkodliwego księcia. W spektaklu Weissa sprawa ze Stocznia wyglądała jak białe skarpetki do czarnego garnituru. Ale co ja tam mogę wiedzieć, skoro też nie potrafię się zachwycać unikalnym smakiem kalafiora...



Cała para w gwizdek

Oficerom i gościom wchodzącym i schodzącym z pokładów okrętów towarzyszy tak zwany świst trapowy. Czy to przypadek, że na temat ostatniego numeru polskiej edycji „F&SF” wybrano steampunk? Nawet jeśli nie, to i tak od tego skojarzenia trudno uciec.



Jaki jest ten pożegnalny (bo nie mam nadziei, że Konradowi Walewskiemu uda się wskresić pismo u innego wydawcy) numer? Najprościej byłoby powiedzieć, że typowy. Znowu największą literacką atrakcją jest tekst niezwiązany z przewodnim motywem – *Urdumheim* Swanwicka (pastisz biblijnego mitu o potopie i wieży Babel), ponownie mamy opowiadanie zupełnie niefantastyczne – *Zabawa w kapturka* Link (o trudnych relacjach między przyrodniakami). Wyróżniająca się przytym do *Kolej karna* Strzeszewskiego (steampunk z pruskimi zakonami rycerskimi, kabałą i golemami na przełomie XIX i XX wieku – solidny kawałek tekstu i niezły pomysł na świat) i *Precedens* McMullen (antyekologizujący tekst, przestrzegający przed tym, do czego może doprowadzić radykalna walka z globalnym ociepleniem). Miłośnicy Lovecrafta na pewno dobrze

przyjmą *Pięknisia i Bestię* Friesner, natomiast *O nim* Bissona (tren o genetycznie odtwarzanych wymarłych gatunkach) i *Platonogi* Priest (Pinokio steampunkowy) to utwory poniżej poziomu pozostałych. Piszę te słowa kilka tygodni po zakończeniu lektury pisma i do dziś najlepiej pamiętam opowiadanie Swanwicka, pewnie trochę dlatego, że bardziej mnie jego parodiowanie Biblii wkurzyło niż urzekło – jednak literacko to ekstraliga światowa – i, skoro nie wywietrzało mi z głowy, musi coś w nim być.

W dziale publicystyki też króluje wywiad ze Swanwickiem, z którego możemy się między innymi dowiedzieć, że odebrał porządne katolickie wychowanie, ale obecnie uważa się za ateistę. Zapewne to pozwala mu traktować Pismo Święte jako rezerwuar wątków, z którymi może sobie dowolnie poczynać (jeden problem, jaki się z tym procederem wiąże, to ten, że dziś już coraz mniej czytelników jest w stanie zrozumieć, do czego Autor pije). W tym wywiadzie Swanwick wygłasza wiele ciekawych opinii: np. taki, że najlepszymi twórcami horrorów są autorzy wychowani w duchu katolickim, bo lepiej rozumieją i odczuwają obcowanie świętych; dostrzega on również, że katolicyzm (przynajmniej w USA) buduje w człowieku trwalszy moralny fundament niż protestantyzm. Brzmi to paradoksalnie, bo przecież purytanie tworzący zręb amerykańskiej kultury słyneży z etycznego rygoryzmu, ale częściej się zdarza, że katolicy, żyjąc w nieprzyjaznej sobie rzeczywistości, potrafią być wzorem do naśladowania. Jeff VanderMeer przekonuje, że polityka może być całkiem dobrym źródłem inspiracji dla prozy fantastycznej i śmiało można po nią sięgać (dobrą ilustracją tej tezy jest niezbyt poprawne politycznie opowiadanie McMullen). Numer ten przynosi m.in. sporo

recenzji (wyróżnia się tu obszerne omówienie *Kamiennej Ćmy* byłego już naczelnego „F&SF”, tak przemyślane, że gdybym miał się nim sugerować, to pewnie bym tej powieści nie przeczytał), ankietę steampunkową i artykuł o steampunkowym stylu życia (a właściwie o ludziach, którzy chcą naprawiać wszystkie urządzenia sami i zgłębiać tajemnice nawet najbardziej zaawansowanej techniki).

Czy „F&SF” godnie się pożegnał ze swoimi czytelnikami? Nie jestem o tym przekonany, choć jego objętość (232 strony) na pewno to by

Trzydziestka „Czasu Fantastyki”

Kwartalnik „Czas Fantastyki” obchodzi swój perlowy jubileusz (ukazał się po raz 30). Od razu trzeba powiedzieć, że jest to kolejny bardzo udany numer tego magazynu. Trudno wyróżnić w nim jakiś konkretny tekst, bo wszystkie trzymają wysoki poziom (nawet korekta jakby się poprawiła) i każdy czytelnik na pewno znajdzie w nim coś interesującego dla siebie.

Sporo miejsca poświęcono tym razem grom (m.in. rpgowemu „Kultowi” i komputerowej serii „Reksio”; o przerażających skutkach uzależnienia się od gier sieciowych na przykładzie Korei Południowej donosił natomiast Konrad Godlewski w urywkach swojego reportażu *Korea szerokopasmowa*).

Wśród materiałów filmowych wyróżniają się teksty około alienowe: szkic poświęcony Gigerowi i krótka notka o tym, o czym może być *Prometeusz* Scotta.



W tym numerze „CzF” znalazło się miejsce dla wyimków z dwóch doktoratów: jednego – Anny Kolono-Kapłańskiej – na temat wizji

sugerowała. Jak dla mnie za dużo jednak w tym numerze (podobnie jak w poprzednich) opowiadań, nad którymi ongiś nawet w „Czerwonym Karle” byśmy debatowali, czy warto marnować miejsce na ich publikację. Tak czy siak – na pewno szkoda, bo było to pismo, które udawało mi się regularnie czytać (nie dość, że kwartalnik, to na dodatek wiecznie spóźniony; idealna sprawa dla kogoś, kto – jak ja – czyta raczej wolno). Stracą na tym również moje Okruchy, ale trudno.

zaświatów w twórczości Marka S. Huberatha, a drugiego – Zuzanny Pająk – o obrazowaniu we współczesnej polskiej sf (na przykładzie wybranych powieści Zajdla i Zimniaka). Ciekawą polemikę z teorią inteligentnego projektu (z pozycji teistycznego ewolucjonisty) przeprowadził na łamach kwartalnika Tadeusz Solecki; zagadnieniem światów równoległych (nie tylko zresztą w aspekcie literatury fantastycznej) przyglądali się zaś Hanna Fronczak i Adam Przechrzała.

Wśród recenzji warto odnotować zapowiedź najnowszej powieści Wojtka Szzydę *Fausteria* (to kolejna pozycja z serii „Zwrotnice czasu” NCK – już ostrzę sobie na nią zęby). Dostajemy również omówienie *Małp...* Parowskiego pióra Michała Cetnarowskiego (ledwie przekartkowałem tę cegłę – określenie tej książki jako *summa redactoriae* nie wydaje się przesadzone – a ponieważ GKF jest w niej wspomniany, „Anatomia...” także – i nawet moja skromna osoba została ze dwa razy wymieniona z nazwiska – niniejszym nadaję jej swoje ogonowe *imprimatur*: można, a nawet zaleca się ją czytać). Zwróciłem też uwagę na nadmiernie entuzjastyczną – moim zdaniem – opinię Pawła Majki na temat *Dumanowskiego Szostaka* – moja opinia o *Dumanowskim* pozostaje niezmienna: największą wadą tej prozy jest to, że nie budzi ona wystarczająco silnych emocji, czego od literatury należy oczekiwać.

Szkoda tylko, że nie zmieściła się w tym numerze „CzF” recenzja wydanej przez GKF książki Żukowskiej o mitologiach Sapkowskiego. Ale i tak niczego kwartalnikowi nie brakuje, dlatego namawiam do jego lektury.

Wasz wielkokacki korespondent

Sorry, Winnetou



Był taki okres w historii mojej uczelni, kiedy posiedzenia senatu odbywały się w bardzo nietypowej, wręcz obiadowej porze. Mówiłem wtedy sąsiadowi senatorowi, że przypominają mi western, ponieważ zaczynają się w samo południe, kończą zaś o 15:10 (do Yumy). Trochę na podobnej zasadzie z westernem kojarzy mi się produkcja sf, o której piszę tym razem, czyli film *Kowboje i obcy*.

Oczywiście żartuję sobie, gdyż główną zaletą tego hybrydalnego obrazu jest mocne osadzenie w obu konwencjach jednocześnie. Gdyby tytułowi obcy byli jakiegoś banalnego, ziemskiego pochodzenia, byłby to po prostu western i tyle – na dodatek całkiem niezły. Tak w każdym razie sądzę, nie będąc ani znawcą, ani nawet szczególnym miłośnikiem tego gatunku filmowego.

W skrócie fabuła sprowadza się do tego, że Obcy najechali pustynne terytorium Dzikiego Zachodu w poszukiwaniu złota, przy okazji pałając chęcią eliminacji tubylców, czyli nas. Dlatego porywają ludzi za pomocą czegoś w rodzaju łoża do swych latających machin, by następnie na statku szukać ich słabych punktów metodą wiwisekcji. Jednemu z porwanych, rewolwerowcowi zdobiącemu listy gończe jako Jake Lonergan, udaje się zbiec. Traci jednak pamięć, co stanowi zawiązanie całej intrygi. Drugim kluczowym punktem jest to, że ma na przegubie coś, co nie daje się zdjąć, a potem okazuje się skuteczną bronią na Obcych. Tymczasem Jake dociera do podupadłego miasteczka dawnych poszukiwaczy złota, którym obecnie rządzi niepodzielnie hodowca bydła, Woodrow Dolarhyde. Oczywiście przybysz zostaje prędko aresztowany, przedtem jednak zostaje odkryty przez Ellę Swenson, kosmitkę-telepatkę w ludzkim ciele, szukającą sposobu likwidacji Obcych i ich statku. Kiedy podczas nalotu na miasteczko część mieszkańców zostaje porwana, pozostali jednoczą się, żeby ich uratować. Po drodze dołączają do nich śmiertelni wrogowie Apacze oraz dawna banda Lonergana, co jest wydarzeniem całkiem bez precedensu. Ich wspólna walka zmienia wszystkich zdecydowanie na lepsze, zatem nazwa miasteczka *Absolution* (*Rozgrzeszenie*) okazuje się w pełni przystająca do fabuły.

Oczywiście nie opowiedziałem wszystkiego, a także dokonałem znacznych uproszczeń, widać jednak, że z punktu widzenia sf akcja nie jest szczególnie porywająca, przywołując na myśl *Kieszonkowy komputer dreszczowców science fiction* Lema (...i mogą być zniszczeni przez tłum chłopów z pochodniami...). Efekty specjalne są bardzo dobre, ale to przecież obecnie standard w tego typu produkcjach. Zwłaszcza obcy są całkiem do rzeczy – z sylwetki i sposobu poruszania się przypominają ogromne, opancerzone małpy, jednak na brzuchu, pod pancerzem, posiadają parę dodatkowych rąk do bardziej precyzyjnych działań, co wydaje się dość oryginalnym rozwiązaniem. Warto nadmienić, że wytwórnia podobno nękała reżysera, Jona Favreau, żądaniem nakręcenia filmu metodą 3D, ten jednak szczęśliwie nie ugiął się, argumentując, że *westerny powinny być tworzone jedynie tradycyjną metodą*.

Atutem filmu jest (a raczej powinna być) doborowa obsada, zwłaszcza Daniel Craig jako Jake Lonergan oraz Harrison Ford jako Woodrow Dolarhyde. Jeden z recenzentów dość celnie zażartował sobie, że ktoś inny mógłby obronić Ziemię przed kosmitami, jak nie James Bond pospołu z Indiana Jonesem. Faktem jest, że Ford za nic nie chciał nosić kowbojskiego kapelusza, bojąc się tego typu skojarzeń, nie miał jednak wyjścia – konwencja zobowiązuje. Craig natomiast został zaangażowany podobno z tego względu, że mocno przypomina Yula Brynnera (*Siedmiu wspianiałych, Świat Dzikiego Zachodu* i in.). No i dobrze się stało, bo wręcz idealnie zagrał

westernowego twardziela, który z całkowitym spokojem w oczach, na poziomie odruchów warunkowych, stosuje mniej lub bardziej konieczną obronę własną (minimum wysiłku, maksimum skuteczności). Skutkiem ubocznym jest jednak to, że w ten sposób zdominował, a być może nawet zdeklasował, resztę ekipy, zmieniając ją w gromadę statystów. Może trochę tu przesadzam, ale nie tak bardzo.

Zanim film miał swoją premierę na DVD, odkryłem istnienie powieści pod tym samym tytułem autorstwa Joan D. Vinge. Zwiedziony nazwiskiem uznałem pochopnie, że mam do czynienia z literackim pierwowzorem filmu i czym prędzej ją zamówiłem. Zamówiłem, po czym zaniemowiłem, widząc typowe filmowe czytadło, nie mające nawet nazwiska autorki na okładce (jak widać na reprodukcji poniżej). W podziękowaniach na końcu książki pisze ona jednak, że przedstawiciele wytwórni filmowej, *zezwalając na wprowadzenie elementów nieobecnych w filmie, a z nim niekolidujących, pozwoliła rozwinąć skrzydła mojej adaptacji*. Ta deklaracja pozwoliła mi przeczytać całą książkę z niejaką nadzieją, niestety jednak płonną. Oczywiście jest to inne medium, z możliwością wyeksponowania myśli bohaterów, a także rozwinięcia drobnych wątków pobocznych, zasadniczo jednak powieść nie różni się niczym od filmu i z tego punktu widzenia jej lektura jest zwykłą stratą czasu. Przy okazji widać, jak restrykcyjne są wymagania wytwórni wobec autorów adaptacji – ciekawe, co by się działo, gdyby podobne zasady stosowano przy przekładaniu powieści na język filmu.

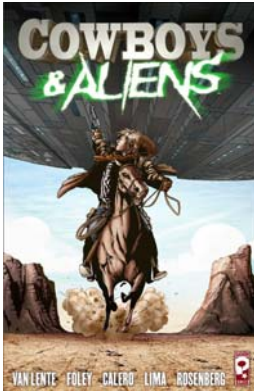
Z dodatków na płycie dowiedziałem się, że film miał jednak pierwowzór literacki, dokładniej zaś komiksowy, autorstwa Scotta Mitchella Rosenberga. Na ile mogę stwierdzić na podstawie angielskiego streszczenia w *Wikipedii*, różni się on dość istotnie od scenariusza, będąc z nim zbieżnym jedynie w zasadniczym pomysłem. Wyczytałem tam, że w komiksie Obcy szukali srebra, jeżdżąc na czymś w rodzaju antygrawitacyjnych motocykli. Zmyślny kowal przerobił jeden z nich na podkowy, dzięki czemu podkute nimi konie mogły galopować w powietrzu. Może to niezbyt mądre, ale za to wyjątkowo zabawne. Nie to co w filmie, który jest, rzecz jasna, śmiertelnie poważny. Warto też zwrócić uwagę na okładkę komiksu z jednej strony, a z drugiej na plakat filmowy i wtórny wobec niego wygląd książkowej adaptacji (poniżej). Na górze widać tam lecący poziomo statek Obcych. Cała rzecz w tym, że w filmie jest on pionowo ustawioną, walcową rakietą, a kadr uwieczniony na plakacie nigdy się nie pojawia. Widać z tego, że wpływ komiksu na plakat był większy, niż na sam film.

Interesujące jest i to, że dziełko Rosenberga prawdopodobnie stało się podstawą także innego, wcześniejszego filmu *High Plains Invaders* (najwyraźniej nawiązującego tytułem do westernu Clinta Eastwooda *High Plains Drifter* z 1973 r.). Tym razem Obcy przypominają opancerzone skorpiony z odnóżami modliszki i są maszynami do wydobywania uranu, co demonstrują malowniczo na głównej ulicy miasteczka. Ludzie raczej ich nie obchodzą, ale ci, rzecz jasna, zaczynają do nich strzelać, co powoduje krwawy odwet. W tym filmie też występuje facet poszukiwany listem gończym, którego egzekucję przerywa nadejście Obcych, ten jednak jest tak pocziwy, że trudno uwierzyć w to, iż napadał na pociągi (ostatni z nich się wykoleił, co doszczętnie rozbiło psychicznie delikwenta). Mamy tu mnóstwo kwiatuszków: miejscowy naukowiec od uranu zgromadził go aż pół tony (!) i trzyma go w kilku ołowianych skrzyniach (które ładuje na wóz bez większego wysiłku jedna osoba). Ten sam delikwent wspomina powieść Verne'a o trzech ludziach, którzy polecili na Księżyc rakieta kosmiczną wystrzeloną z armaty. Myślicie, że to błąd tłumacza? Nic podobnego: w tle słychać wyraźnie słowa *space rocket*. I nikt się nie jakoś dziwi i nie dopytuje, o co właściwie chodzi.

Film kręcono w Rumunii, raj u niskiego budżetu. Efekty specjalne, autorstwa *Oblique FX*, odbieram z mieszanymi uczuciami. Obce roboty są całkiem fajne, choć przy pracy pokazano je tylko przez moment (chwila nieuwagi kamerzysty i wielka

dziura gotowa). Kulisty statek kosmiczny, rozkładający spodnią część na wzór płatków kwiatu, jest też całkiem do rzeczy, lecz coś pokręcono z perspektywą, więc wygląda, jakby był domalowany ręcznie. Fabuła zaś, co może trochę dziwić, bardziej przypomina film *Kowboje i Obcy* niż komiks pod tym samym tytułem. Chronologia zaś bezlitośnie podpowiada, kto właściwie od kogo mógł ściągnąć. Sorry, Winnetou, ale ja tego jakoś nie trawię.

Andrzej Prószyński



Scott Mitchell Rosenberg
Cowboys & Aliens (komiks)
 Platinum Studios 2006
 Joan D. Vinge, *Kowboje i Obcy*
 (*Cowboys & Aliens*), tł. Patryk
 Gołębiowski, Świat Książki 2011

Kowboje i obcy (Cowboys & Aliens),
 USA 2011, reżyseria: Jon Favreau
 scenariusz: Mark Fergus, Hawk Ostby
 na podstawie komiksu Scotta Mitchella
 Rosenberga
 muzyka: Harry Gregson-Williams,
 zdjęcia: Matthew Libatique



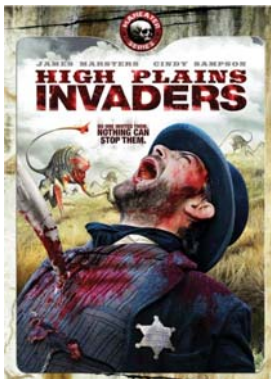
ocena FilmWeb: niezły (5,6), gatunek: Thriller, Western, SF,
 czas trwania: 1 godz. 54 min.

Obsada: Daniel Craig (Jake Lonergan), Harrison Ford (Woodrow Dolarhyde), Olivia Wilde (Ella Swenson), Sam Rockwell (Doc), Paul Dano (Percy Dolarhyde), Adam Beach (Nat Colorado), Keith Carradine (szeryf John Taggart), Noah Ringer (Emmett Taggart), Abigail Spencer (Alice), Clancy Brown (Meacham), Raoul Trujillo (wódz Apaczów Czarny Nóż)

Obcy przybywają do Kolorado (High Plains Invaders)

Kanada, Rumunia 2009, TV
 ocena FilmWeb: 3,3 (słaby), IMDb: 5,0
 reżyseria: Kristoffer Tabori
 scenariusz: Richard Beattie
 muzyka: James Gelfand
 zdjęcia: Pierre Jodoin
 gatunek: Western, SF
 czas trwania: 1 godz. 24 min.
 emisja: TVP 1

Obsada: James Marsters (Sam Danville, skazaniec)
 Cindy Sampson (Abigail, lekarka, sympatia Sama)
 Sebastian Knapp (Jules Arning, *uranolog*)
 Sanny Van Heteren (Rose Hilridge, łowczyni nagród)
 James Jordan (szeryf)
 Dan Bordeianu (zastępca szeryfa)
 Antony Byrne (Gus McGreevey, drugi skazaniec)
 Adriana Butoi (żona badacza)



OSTATNIE OBROTY „KOŁA CZASU”

Recenzje Karola

Robert Jordan KSIĄŻĘ KRUKÓW GILOTYNA MARZEŃ



Minęło kilka lat od ukazania się XI tomu cyklu "Koło czasu", a ja wciąż zwlekałem z lekturą. Kiedy książki te ukazały się w Polsce – wiedziałem już, że Robert Jordan jest śmiertelnie chory. Niedługo potem znalazłem w sieci smutną informację o jego śmierci. Zniechęciło mnie to do lektury, bo mogło oznaczać, że nigdy nie dane mi będzie poznać zakończenia cyklu. Po co więc dodatkowo znęcać się nad sobą? W 2008 roku w moje ręce trafiła powieść Brandona Sandersona. Bardzo mi się spodobała. Jakież było moje zdumienie, gdy z jego strony internetowej dowiedziałem się, że będzie kontynuował cykl Roberta Jordana. Niestety, dopiero parę miesięcy temu w Polsce ukazał się XII tom cyklu, którego Sanderson jest współautorem. Najważniejsze jednak, że wreszcie mogłem zacząć czytać tom XI.

Zazwyczaj istotną część moich recenzji zajmuje krótkie wprowadzenie do fabuły. Najzabawniejsze, że tym razem mogłbym powtórzyć część tego, co napisałem w streszczeniu X tomu. No cóż – już wtedy stwierdziłem, że tempo akcji pozostawia wiele do życzenia. Pomińmy jednak chwilowo dygresje i zajmijmy się fabułą.

Kiedy służący w Białych Płaszczach Galad dowiaduje się, że Morase była więziona w Fortecy Światłości, wyzywa na pojedynek Lorda Kapitana Synów Światłości Eamona Valdę. Następstwem pojedynku jest rozłam wśród Białych Płaszczy. Część pozostaje wierna Seanchanom, a część się buntuje.

Rodel Ituralde realizuje swój skomplikowany plan i zadaje duże straty Seanchanom w Tarabonie. To zmusza ich do zmiany planów wojennych.

Caemlyn jest nadal obleżone przez Arymillę – i Elayne szuka sposobu rozwiązania kryzysu. Zadanie niełatwe, bo tron Andoru jest łakomym kąskiem dla wielu Domów.

Egwene dostała się wprawdzie w ręce Aes Sedai wiernych Elaidzie, ale dzięki talentom Śniącej nadal kieruje poczynaniami buntowniczek. Tym samym oblężenie Tar Valon trwa.

Po opuszczeniu Ebou Dar, Mat wraz z dość liczną grupą towarzyszy wędruje z cyrkiem Valana Luki. Jego największym zmartwieniem jest chwilowo Tuon, następczyni tronu Seanchan, która zgodnie z przepowiedniami ma być jego żoną. Ich wzajemne relacje nie układają się tak, jakby sobie tego Mat życzył.

Perrin wciąż ściga Shaido, którzy porwali jego żonę. Kiedy wreszcie udaje mu się ich wytopić – okazuje się, że ich przewaga liczebna jest przytłaczająca. Konieczny staje się tymczasowy sojusz z Seanchanami.

To, co choć na chwilę udaje się Perrinowi, chciałby też osiągnąć Rand. Dąży do zawarcia rozejmu z Seanchanami, bo w obliczu zbliżającego się Tarmon Gai'don wojna z nimi jest bezsensowna.

To byłyby pokrótce najważniejsze wątki XI tomu. Tym, co zaskoczyło mnie najbardziej w trakcie lektury, było nagle przyspieszenie akcji. O ile początkowo dłuższy są jeszcze na porządku dziennym, to później tempo wydarzeń jest wprost oszałamiające. Byłem naprawdę zdumiony, że aż tyle wątków zostało zakończonych. Przez wiele tomów Jordan jedynie dodawał koleje wątki i pomysły. To był jeden z powodów mojego utyskiwania, bo kontrast z początkami cyklu był ogromny. Po przeczytaniu XI tomu wiem, że autor przymierzał się wreszcie do tego, by zakończyć cykl. Los, niestety, pokrzyżował mu plany.

Zdarzało mi się czytać wielotomowe cykle, ale nawet jeśli całkowita liczba tomów była większa niż u Jordana, to albo każdy z tomów stanowił samodzielną całość, albo w ramach cyklu co najwyżej kilka tomów składało się na całość. Jedyny łącznik między tomami stanowili przeważnie bohaterowie. Jordan tymczasem rozłożył opisywaną historię na kilkanaście tomów. Mnożył wątki i postacie bez opamiętania. Owszem, podziwiam go za to, że się w tym nie pogubił, ale jako czytelnik mam zastrzeżenia do takiej formy pisarstwa. Już w okolicach piątego lub szóstego tomu bardzo bym się ucieszył, gdyby zamiast glosariusza pojawił się indeks osób i miejsc. Wyrazem mojej desperacji jest leksykon wybranych postaci (http://karolginter.pl/kolo_czasu.htm), który stworzyłem po lekturze X tomu, kiedy zmuszony byłem przeczytać wszystkie poprzednie, aby jako tako orientować się w kalejdoskopie przewijających się tam osób. Bardzo mi pomógł tym razem, bo nie musiałem czytać całości cyklu, by przypomnieć sobie, kto jest kim. Szczerze powiedziawszy – nie spotkałem się jeszcze, by jakikolwiek autor zasypywał czytelnika takim mnóstwem imion. Jest to wręcz kuroizalne, gdy przykładowo zamiast ogólnikowego "pojawiło się kilka Aes Sedai ze swoimi Strażnikami" – Jordan zaczyna przedstawiać wszystkich z imienia. Nie poprzestaje zresztą na tym, bo dodatkowo musi podać co najmniej parę cech fizycznych każdej z tych postaci i wspomnieć, w co każda z nich jest ubrana. Kompletny obłąd! Ta maniera stała się bardzo uciążliwa w kilku ostatnich tomach. Był to jeden z tych czynników, który sprawił, że wysoko oceniany przeze mnie cykl stracił w moich oczach tak wiele.

Inna sprawa, że zachwył, który towarzyszył lekturze pierwszych dwóch tomów, rozwiewał się niczym poranna mgła wraz z każdym kolejnym. Pojawienie się na kartach cyklu Aielów było jak wrzucenie zgniłego jabłka do koszyka pełnego zdrowych owoców. Wiadomo, że wkrótce wszystkie zaczną się psuć. Dlaczego Aielowie budzą we mnie taką niechęć? Zaczniemy od tego, że nigdy nie zaakceptowałem pomysłu, że Aielowie są świetnym wojownikami. Odporność na ból, wytrzymałość i pogarda dla śmierci to za mało, by wygrywać bitwy. Dyscyplina to niewątpliwie atut – pod warunkiem, że walczy się w szyku. Tymczasem taktyka Aielów to przykład tego, co wielokrotnie na wczesnym etapie rozwoju stosowały różne ludy: rzucamy się kupą na wroga i... zobaczymy, co będzie. Połączenie przewagi liczebnej, zajadłości w walce i przede wszystkim elementu zaskoczenia pozwalało od czasu do czasu odnieść sukces. Istotne było także wybranie odpowiedniego pola bitwy. Nie ulega wątpliwości, że na wzgórzach, w lesie lub na terenach bagiennych ciężko byłoby pokonać Aielów. Jednak w otwartym polu, na równym terenie, Aielowie łatwo mogliby zostać pokonani przez formacje, które opisywane są przez autora w innych miejscach cyklu, czyli ciężkozbrojną konnicę i piechotę. Nawet przy kilkukrotnej przewadze liczebnej po stronie Aielów.

Już w jednej z wcześniejszych recenzji wykazywałem, że Aielowie nie mieliby szans w starciu z kawalerią. Teraz przypomnę nieco fizyki. Energia poruszającego się obiektu zależy od jego masy i prędkości. Kto ma większą masę i równocześnie

porusza się szybciej: jeździec na cwałującym koniu, czy biegnący człowiek? Uderzenie wyprowadzane przez jeźdźca wspomagane jest całą tą energią. Skumulowane na małej powierzchni, jaką jest czubek trzymanej przez kawalerzystę kopii, właściwie zmiata piechura. Jediną szansą dla piechura jest wykorzystanie tej energii przeciw kawalerzyście, czyli użycie długiej, zapartej w ziemię broni drzewcowej, jaką może być długa włócznia, halabarda czy wreszcie pika. Zapartej w ziemię, bo trzeba gdzieś odprowadzić energię towarzyszącą impetowi uderzenia. Mam świadomość, że najróżniejsze produkcje filmowe wypaczyły obraz wojskowości średniowiecznej. Może dlatego bardziej obrazowe będzie odwołanie się do współczesności. Kto ma większe szanse przeżycia w przypadku czołowego zderzenia dwóch pojazdów: kierowca TIR-a, czy samochodu osobowego? Raz jeszcze przypomnę: masa i prędkość robią swoje.

Ktoś powie, że konstrukcja potężnego samochodu ciężarowego, jakim jest TIR, czyni go bardziej bezpiecznym dla kierowcy. Spostrzeżenie jak najbardziej słuszne. Z tego samego powodu opancerzony jeździec ma większe szanse w starciu z nieopancerzonym piechurą. Zbroi nie nosiło się dla ozdoby, co mogłyby sugerować niektóre produkcje hollywoodzkie (czy niejednokrotnie sam Jordan, który każe bohaterom utyskiwać na nieprzydatność zbroi). Zakuty w zbroję wojownik jest przede wszystkim odporny na strzały z łuku. Nie wierzcie filmom i niektórym mitom – głoszącym, że strzała z długiego łuku przebijała zbroję płytową. Wprawdzie teoretycznie strzała wystrzelona z długiego łuku z odległości mniejszej niż 30 metrów mogła przebić zbroję płytową, ale akcent należy położyć na "teoretycznie". Podobnie, jak przy projektowaniu czołgów kładzie się nacisk na to, by płyty pancerza były ustawione pod takim kątem, żeby pociski się od niego odbijały, tak samo przy projektowaniu zbroi jej elementy tak profilowano, żeby strzały się odbijały. W efekcie łuki pozostały zagrożeniem dla koni; ale i to do czasu, kiedy je również zaczęto chronić pancerzem.

Skuteczną bronią przeciwko zbroi była kusza. Tyle tylko, że częstotliwość oddawania strzałów była niewielka. Na kartach XI tomu Mat odnosi swoje sukcesy militarne m.in. dzięki temu, że Legion Czerwonej Ręki został wyposażony w szybkostrzelne kusze. Jednak wyposażeni w krótkie łuki Aielowie nie stanowili żadnego zagrożenia dla ciężkozbrojnych. Sami natomiast, jako pozbawieni opancerzenia, byli narażeni na ataki broni miotającej. Trochę konkretniej. Przyjmijmy, że efektywny zasięg łuku to 180 metrów. Zasięg zależy od wielu zmiennych, takich jak typ łuku, ciężar strzały czy siła i kierunek wiatru. Mistrzowie długiego łuku potrafili oddać strzał na odległość dwukrotnie większą. Jeżeli założymy – na wyrost – że Aielowie są w stanie biec z prędkością współczesnych mistrzów sprintu, czyli około 10 metrów na sekundę, pokonanie dystansu 180 metrów zajmie im co najmniej 18 sekund. W tym czasie każdy łucznik odda nie mniej niż dwa strzały. Skuteczność ostrzału zależy od tego, czy Aielowie zaatakują w zwartym szyku (duże straty od ostrzału, ale za to duży impet ataku), czy w szyku rozproszonym (mniejsze straty od ostrzału, ale i niewielki impet ataku). Każde trafienie, nawet jeśli nie zabija, zmniejsza wartość bojową. Przynajmniej spowolni, o ile nie wyeliminuje, Aiela z walki. Każdy Aiel, który przewróci się zabity lub ranny, spowolni innych biegnących. W efekcie pozostałym nie uda się pokonać dystansu dzielącego ich od łuczników w ciągu 18 sekund. A to oznacza kolejną salwę. Innymi słowy: duże straty zanim jeszcze walka się rozpoczęła. Na nieszczęście Aielów żaden szanujący się dowódca nie pozostawi łuczników bez obrony. Na drodze Aielów stanie piechota. I tu nadchodzi czas na ocenę walorów bojowych Aielów w starciu z piechotą. Lekkozbrojna piechota zapewne nie stawiałaby im czoła. Jednak w wykreowanym przez Jordana świecie są także halabardnicy. W tym miejscu trzeba zwrócić uwagę na rzecz oczywistą: zasięg halabardy jest znacznie większy od

krótkiej włóczni. Aielowie zostaliby przerobieni na mielonkę, zanim mieliby okazję użyć swojej broni. Nie oszukujmy się: wielkość, a konkretnie długość, ma znaczenie! Przekonali się o tym Grecy w IV wieku p.n.e., gdy Filip II Macedoński wprowadził do użytku sarissę. Grecka falanga uzbrojona była w 2,5-metrowe włócznie. Sarissa mierzyła 4,5 metra. Efekt? Koniec niepodległości Grecji, a wkrótce potem triumfy Aleksandra Macedońskiego. Wracając jednak do Aielów – w starciu z formacją halabardników tylko duża przewaga liczebna mogłaby ich uratować. Gorzej, jeśli przeciwnik zastosowałby szyk używany z dużym powodzeniem przez Szwajcarów, czyli czworobok, na zewnątrz którego jest kilka szeregów halabardników, a wewnątrz łucznicy i kusznicy. To właśnie dzięki niemu Szwajcarzy doskonale radzili sobie nie tylko z innymi formacjami piechoty, ale także z ciężkozbrojną jazdą. Stali się postrachem pół bitewnych drugiej połowy XV wieku i utrzymali swą reputację przez kolejne stulecia. To, że w początkach XVI wieku utworzono Gwardię Szwajcarską, która pełni rolę straży przybocznej papieża, nie było żadną dziwną fanaberią władcy. Szwajcarzy byli po prostu najlepsi. I wcale nie dlatego, że gardzili śmiercią i cechowała ich większa odporność na ból niż ich przeciwników. No właśnie, czy te cechy stanowią istotę dobrego wojownika?

Kiedy Jordan opisuje zwyczaje Aielów, ich metody wychowawcze itd. – to natychmiast nasuwają się analogie ze Spartą. Spartiaci słynęli jako wspaniali wojownicy. Budzili podziw i strach u wielu współczesnych. Ich społeczeństwo, w którym nie było nierówności majątkowych, dla wielu stało się wzorem społeczeństwa idealnego. Cena za to był wysoka. Spartiaci pozbawieni byli wolności. Ich życie od narodzin do śmierci podporządkowane było państwu. Świecili triumfy na polach bitew, ale jaki był ich wkład w rozwój cywilizacji i kultury? Czy ktoś słyszał o wybitnym poecie, rzeźbiarzu lub architekcie ze Sparty? No właśnie. W nauczaniu historii nadal dominuje tendencja do pokazywania jej przez pryzmat wojen i konfliktów. To rzeczywiście nasze dziedzictwo, ale moim zdaniem o wielkości narodu nie świadczy długa lista zwycięstw; tak samo, jak o wielkości człowieka nie świadczy duża liczba osób, które pobił. Historia dowodzi, że w końcu każda niezwyciężona armia zostaje pokonana. W moim systemie wartości to, co reprezentowała sobą Sparta, te całe pokłady okrucieństwa i niewrażliwości na cierpienia innych, zasługuje wyłącznie na pogardę. A Jordan, tworząc Aielów, inspirował się Spartą. Nawet jeśli nie było to działanie świadome. Jaki więc może być mój stosunek do systemu wartości Aielów? Okrutnych, pozbawionych litości, niewrażliwych na cierpienie innych... Tę litanię mógłbym ciągnąć długo. W każdym razie Jordan zapomniał o jednym: Spartiaci, inaczej niż Aielowie, na polu bitwy walczyli zakuci w stal. W przeciwnym wypadku zapewne nigdy byśmy o nich nie usłyszeli, bo spotkałby ich los innych zapomnianych greckich polis, które miały zbyt wojowniczych sąsiadów, by przetrwać.

Strasznie dużo miejsca poświęciłem Aielom. Może dlatego, że tę recenzję traktuję jako pewne rozliczenie z cyklem, bo kolejne tomy nosić będą na sobie już piętno innego autora. Podsumowując wszystko, co już napisałem, wychodzi na to, że nic nie uprawnia do tego, by przyjąć, jak chce tego Jordan, że Aielowie mogliby być postrachem pół bitewnych. Doskonale nadawaliby się do formacji zwiadowczych oraz w charakterze ochrony, ale na polu bitwy niewiele byłoby z nich pożytku. Zwycięstwa mogliby zawdzięczać jedynie Mocy, czyli ewentualnemu udziałowi zdolnych przenosić Jedyną Moc Mądrych. Dlatego gotów jestem uwierzyć, że Shaido mogli siać spustoszenie. Oczywiście, tu pojawia się konieczność zwrócenia uwagi na parę innych aspektów prowadzenia kampanii wojennej, które Jordan wyraźnie lekceważy.

Już w recenzji "Ścieżki sztyletów" zwracałem uwagę, że działania na obcym terenie to dodatkowe utrudnienie dla każdej armii. Jest się zdaniem na łaskę i niełaskę miejscowych przewodników. Jak jest to niebezpieczne – mogli się

przekonać rzymscy legioniści, którzy prowadzili działania wojenne w Germanii za panowania Oktawiana Augusta. Niewielu jednak mogło się podzielić swoimi spostrzeżeniami, bo tylko nieliczni przeżyli bitwę w Lesie Teutoburskim. Nie był to jedyny przypadek w historii, gdy przewodnicy prowadzili wojska w pułapkę. Jordan jednak tak istotnego czynnika ryzyka, jakim jest operowanie na obcym terenie, w ogóle nie uwzględnił. Często lekceważył również oczywiste trudności, jakie ma każda armia z apro wizacją. Głód i choroby nierzadko w historii okazywały się trudniejszym przeciwnikiem, niż wróg, z którym walczone. Wiele kampanii wojennych zakończyło się fiaskiem właśnie z ich powodu. Taktyka spalonej ziemi, tak chętnie w czasie wrogich najazdów stosowana chociażby przez wycofujących się Rosjan, okazywała się bardzo skuteczna. W świecie wykreowanym przez Jordana głód i choroby dotykają co najwyżej cywili, ale nigdy żadnej armii. Nawet jeśli armia ta w ogóle nie posiada linii zaopatrzeniowych taborów, a tak jest chociażby w przypadku Shaido.

Co tam zresztą rozpoznanie i linie zaopatrzeniowe. W świecie Jordana twierdze i zamki zdobywa się bez machin oblężniczych. Prawie z marszu. Nie trzeba mieć nawet przewagi liczebnej nad obrońcami, bo po co? Ech, ten mój sarkazm. Ciekawe tylko, co by na to powiedzieli krzyżowcy biorący udział w I krucjacie, którzy przez rok oblegali Akkę i odnieśli sukces tylko dzięki zdradzie wśród obrońców? A może mieliby coś interesującego do dodania kolejni królowie Polski, którzy zęby połamali na umocnieniach Malborka? Malbork nigdy nie został zdobyty, a przeszedł w ręce Polaków dzięki zdradzie wśród obrońców. Kilka inwektyw dorzuciłby zapewne również sułtan Mehmed II – który, dysponując 100-tysięczną armią (to najniższe szacunki, bo według niektórych przyprowadził 300-tysięczną armię), a do tego artylerię, potrzebował prawie dwóch miesięcy, żeby zdobyć Konstantynopol broniący przez siedem tysięcy obrońców (na jednego obrońcę przypadało więc co najmniej czternastu atakujących). Kiedy, po dwóch tygodniach nieustannego bombardowania artyleryjskiego, Turcy przypuścili pierwszy szturm, zakończył się on całkowitą klęską. W czasie ataku zginęło 200 Turków i nikt z obrońców. Ostatecznie sułtan zatriumfował, ale nie byłoby to możliwe, gdyby nie artyleria. Murów obronnych nie budowano dlatego, że architekt krajobrazu orzekł, iż ładnie się prezentują, albo lokalny resort do spraw turystyki uznał, że dzięki nim zwiększą się wpływy z turystów. Umocnienia miały zatrzymać agresora. I dziwnym trafem (choć po obejrzeniu niektórych produkcji hollywoodzkich można by w to zwątpić) zazwyczaj doskonale wywiązywały się z tego zadania.

Jak widać – mam mnóstwo zastrzeżeń do sposobu prezentowania przez Jordana zagadnień związanych z wojskowością. Uczciwie muszę przyznać, że w XI tomie i tak było znacznie lepiej pod tym względem, niż w poprzednich tomach. Seanchanie mają linie zaopatrzeniowe! Z kolei kampania wojenna prowadzona przez Mata nawet nie budzi u mnie zastrzeżeń. Oprócz przyspieszenia tempa akcji – właśnie wyraźna poprawa, jeśli chodzi o sposób traktowania aspektów militarnych, to zalety XI tomu. Wyróżnia się dzięki temu bardzo pozytywnie na tle kilku poprzednich. Z drugiej strony – czy fakt, że autor często nie przejmował się realizmem i wiarygodnością kampanii wojennych, ma jakieś większe znaczenie? Absolutnie nie! Należy tu obciążyć winą moje wykształcenie. Tak naprawdę są to jakieś drobiazgi, które by mi umknęły, gdyby akcja bardziej przykuwała moją uwagę. Skoro jednak wiało nudą, musiałem czymś zająć swój umysł. Inaczej pewnie nawet nie zauważyłbym, iż Jordan chwilami kompromituje się jako historyk. I pomyśleć, że wszystko przez tych Aielów...

Miałem zająć się recenzją kolejnego tomu cyklu, a wyszła mi analiza aspektów militarnych w całości. Co gorsze – po lekturze moich wywodów można odnieść mylne wrażenie, że potrafię dostrzec tylko mankamenty. Chyba powinienem bardziej skupić

się na tych elementach, które sprawiły, że pokochałem ów cykl. Oto niektóre z nich.

Jordan wykreował barwy, wielokulturowy świat. Napracował się, żeby lokalne systemy wierzeń, choć różniące się wzajemnie, układały się w jakąś sensowną całość. Potrafił w interesujący sposób pokazać ścieranie się kultur i nieporozumienia wy-nikające z braku zrozumienia odmienności. Może tylko nieco za bardzo koncentrował się na kontraście między Aielami a pozostałymi kulturami. W każdym razie – relacje międzyludzkie czy motywacje poszczególnych postaci zdawały się bardziej wiarygodne dzięki osadzeniu w określonym kręgu kulturowym. Czytelnik mógł wielokrotnie się przekonać, że racjonalność postępowania zależy od punktu widzenia, od wyznawanego systemu wartości i przekonań danej postaci. Oczywiście, w pewnym sensie świat pokazany przez Jordana to świat skostniały. Wiele ludów bardziej skupia się na zewnętrznych formach (Seanchanie, Aielowie czy Lud Morza), niż na faktycznej treści. Jednostka często jest tu niewolnikiem obyczajów. Kiedy nagle styka się z odmiennym systemem wartości, musi dokonywać trudnych wyborów. Co ciekawe – w imię systemu wartości często odrzuca fakty. Jordan może to przejaskrawił, ale ze zjawiskiem tym mamy do czynienia także i w otaczającym nas świecie. Być może skłoni to niektórych czytelników do zastanowienia się, w jakim zakresie wyznawany system wartości może wypaczać postrzeganie świata.

Jest kilka elementów, które stanowią o wyjątkowości cyklu. Zacznijmy może od cyklicznej koncepcji czasu. W naszym kręgu kulturowym tak się przyzwyczailiśmy do liniowej koncepcji czasu, że nawet nie zauważamy, jak bardzo determinuje ona nasze postrzeganie świata. Zadajemy pytania o początek i koniec Wszechświata. Wszystko dla nas zaczyna się i kończy. A co, jeśli jest inaczej? Niekoniecznie znaczy to, że wydarzenia się powtarzają, jak postrzegają to mieszkańcy świata wykreowanego przez Jordana. Może kiedyś zrodzi się zupełnie inna teoria? Ale już wyjście poza utarty schemat jest stymulujące intelektualnie. I choć sama cykliczna koncepcja czasu nie jest niczym odkrywczym – Jordan doskonale ją zaadaptował do swoich potrzeb. Kiedy wzbogacił ją o Wielki Wzór, na którym tkana jest materia Wszechświata i losy ludzi, powstał zarys całkiem interesującego systemu wierzeń. Bardzo ważnym aspektem świata stworzonego przez Jordana jest Moc. Z naszego punktu widzenia jest to jakiś rodzaj magii; ale czy nie jest to po prostu jeszcze jedna forma oddziaływania na rzeczywistość? Otoczona wieloma mitami i tajemnicami.

W czasach, kiedy toczy się akcja cyklu, tylko kobietom przyznaje się prawo do posługiwania Mocą. Jordan kreśli sugestywny obraz Białej Wieży jako instytucji, która jest nośnikiem wielowiekowej tradycji, stawia sobie wielkie cele, ale nie jest też pozbawiona ułomności. Nawet Trzy Przysięgi można przecież naginać. Tu pozwolę sobie na stwierdzenie, że potencjał możliwości, jakie to dawało, nie został w pełni wykorzystany przez autora. Łatwo sobie przecież wyobrazić, że mogłyby się ścierać w Białej Wieży stronnictwa różnie interpretujące Trzy Przysięgi. Chociażby przysięgę zabraniającą mówienia nieprawdy. Aes Sedai nie może powiedzieć nieprawdy – czyli tego, w co wierzy, że jest nieprawdą. Przysięga nie powstrzyma jej jednak od celowego wprowadzenia w błąd rozmówcy. Wystarczy odpowiednio manipulować słowami i niedopowiedzeniami. Jordan nieraz pokazywał, jak może to działać. Najprostsze oszustwo to odpowiedź na pytanie o imię w formie: "Możesz mi mówić...". Pytający nie poznawał prawdziwego imienia, ale trudno oczekiwać, że będzie zastanawiał się nad każdym zdaniem wypowiedzianym przez Aes Sedai. Jaki jednak będzie długofalowy efekt takich działań? Przekonanie, że Aes Sedai kłamią, choć rzekomo przysięga im tego nie zabrania. Wyobrażam więc sobie, że część Aes Sedai mogłaby, w imię szeroko rozumianych interesów Białej Wieży, potępiać wszelkie formy oszustwa, nawet jeśli nie oznaczają one bezpośredniego łamania

przysięgi. Choć czuję niedosyt – podobało mi się, iż Jordan umiał pokazać, jak Aes Sedai w imię określonych racji oszukują. Bo oszustwem jest każda wypowiedź, która ma na celu wprowadzenie w błąd rozmówcy. Nawet jeśli nie mówi się równocześnie nieprawdy.

Trzeba wreszcie wspomnieć o uniwersalnym konflikcie, który napędza akcję – czyli zmagania z Czarnym. Autor puszcza w pewnym sensie oko do czytelnika, bo odwołuje się do koncepcji znanych z judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Posługuje się wieloma historycznymi określeniami diabła (jak ktoś uważnie słuchał angielskiej ścieżki dialogowej w "Piratach z Karaibów", mógł zauważyć, że diabeł zostaje nazwany Starym Hobem [Old Hob], a w XI tomie cyklu Jordan odwołuje się do tego określenia). Przeklęci noszą z kolei m.in. imiona demonów. Czyżby Jordan sugerował, że nasz świat i świat Randa to ten sam świat? Intrygujące.

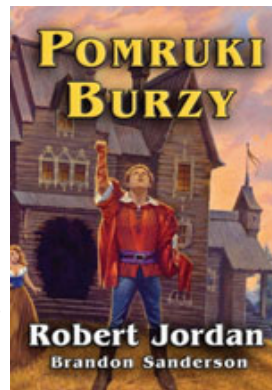
Charakterystyczny dla cyklu jest sposób opisywania świata i wydarzeń przez autora. Długo się zastanawiałem, jakie słowo najlepiej to oddaje – i wyszło mi na to, że chyba przymiotnik "pruderyjny". Trzeba wyraźnie powiedzieć, że świat opisywany przez Jordana jest okrutny. Jednak na kartach powieści próżno szukać naturalistycznych opisów okrucieństw i zbrodni. Czytelnik informowany jest o nich w sposób mocno zawoalowany. Czasami niedopowiedzenia są tak daleko idące, że trudno się domyślić, co autor ma na myśli. Odnosi się to szczególnie do życia seksualnego. Dużo czasu mi zajęło, zanim zrozumiałem, że określenie "przyjaciółka od poduszki" oznacza kochankę. Z kolei fakt, że Jordan opisuje w XI tomie związki homoseksualne w Białej Wieży, może ująć uwagi mniej uważnego czytelnika, bo wszystko opiera się na subtelnych aluzjach i niedopowiedzeniach.

Przy tak wielkim cyklu mógłbym mnożyć plusy i minusy. Komu jednak chciałoby się to czytać? Najważniejsze, że – pomimo pewnych ułomności cyklu – nadal mam ochotę na dalszą lekturę. Owszem, narracja w XI tomie była nierówna. Niektóre fragmenty wręcz pochłaniałem, a przy innych zmuszałem się do lektury. W efekcie przeczytanie obu części zajęło mi dwukrotnie więcej czasu niż pierwotnie zakładałem. Po prostu chwilami czułem zniechęcenie. Ale to był tylko przejściowy stan ducha.

Robert Jordan, Brandon Sanderson POMRUKI BURZY

Spełniają się kolejne proroctwa – i świat zmierza wielkimi krokami w stronę Tarmon Gai'don. Chaos się pogłębia. Dotyk Czarnego staje się coraz bardziej widoczny. Odczuwają to wszyscy, choć wielu wciąż nie przyjmuje tego do wiadomości. Ludzie stosują typowe mechanizmy obronne, takie jak odrzucanie faktów lub ich racjonalizacja, bo tak przecież łatwiej. Samooszukiwanie się pozwala przetrwać w tych trudnych czasach.

Rodel Ituralde nie należy do ludzi, którzy okłamują samych siebie. Wciąż odnosi sukcesy w walce z Seanchanami. Ma jednak świadomość, że przeciwnik dysponuje przytłaczającą przewagą liczebną. Chce walczyć do końca – choć wie, że oznacza to w ostatecznym rozrachunku klęskę. Nie zdaje sobie jednak sprawy, jak bardzo wojenny chaos działa na korzyść Czarnego. Choć świadom jest wielu innych zagrożeń, to na pierwszym miejscu stawia obronę rodzinnego Arad Doman przed Seanchanami. Tym samym realizuje plany Graendal.



W pewnym sensie przeciwieństwem Rodela Ituralde jest Rand. On wie, że największym zagrożeniem jest Czarny. Doskonale zdaje sobie sprawę, iż chaos wywołany wojnami odwraca uwagę ludzi od prawdziwego niebezpieczeństwa. Usiłuje więc wszelkimi środkami ograniczyć anarchię. Nie zauważa, że zajęci rozwiązywaniem doraźnych problemów ludzie wolą odrzucać prawdę o zbliżającej się bitwie. Konieczność stawienia czoła Czarnemu to abstrakcja, skoro trzeba po prostu przeżyć kolejny dzień. Jak Rodel Ituralde za mocno koncentruje się na detalach i ginie mu z oczu ogólny obraz – tak Rand zbyt mocno koncentruje się na ogólnym obrazie i umykają mu detale. Jest przy tym zbyt niecierpliwy i woli narzucać swoją wolę siłą niż stosować perswazję. Cel zaczyna uświęcać środki. Prawda jest taka, że choć świadom jest konieczności walki z Czarnym – nie robi tego z własnego przekonania, lecz z przymusu. Czuje się niewolnikiem przeznaczenia. Od czasu opuszczenia rodzinnego domu doświadczył tyle bólu i cierpienia, musiał stawić czoła tylu niebezpieczeństwom i zagrożeniom, że odcisnęło to na nim swoje piętno. Nękania jest tyloma obsesjami, iż rzeczywistość postrzega w sposób całkowicie wypaczony. Czy uświadomi sobie, że prawdziwym wyzwaniem będzie odnalezienie w sobie na powrót człowieczeństwa? W końcu – jak ma przekonać innych do walki z Czarnym, jeśli lekceważy ich potrzeby, a przede wszystkim... sam nie jest przekonany?

Egwene pozostaje w niewoli Białej Wieży. Z przerażeniem obserwuje, jak zmieniały się relacje między Aes Sedai. Toczy się zimna wojna między wszystkimi Ajah. Zobaczywszy, do czego doprowadziły rządy Elaidy, Egwene jest jeszcze bardziej zdeterminowana, by ją obalić. Jednak zadanie nie jest łatwe, bo ma niewiele swobody i nieustannie jest bita. Jedyńm jej narzędziem jest perswazja, ale Aes Sedai do perfekcji opanowały mechanizmy samooszukiwania się.

Mat, po rozstaniu z Tuon, na czele Legionu Czerwonej Ręki powoli zmierza w stronę Caemlyn. Na swojej drodze wciąż natyka się na dowody, że Czarny powoli uwalnia się ze swojego więzienia.

Po uwolnieniu Faile – Perrin bynajmniej nie odzyskał spokoju. Skoncentrowany na celu, jakim było wyrwanie jej z rąk Shaido, ignorował inne problemy. Teraz wreszcie musi stawić czoła własnym niepokojom. Musi zmierzyć się z wilczą naturą oraz rolą, jaką mu przyszło odgrywać.

XII tom to oczywiście kontynuacja wcześniejszych wątków. Ich wielość powoli jest redukowana, a fabuła zmierza ku finałowi. Właściwie nic istotnego nie wyróżnia tego tomu od poprzednich. Dziwi mnie to o tyle, że spodziewałem się większych zmian, skoro tom został spisany przez Brandona Sandersona. Albo więc Robert Jordan pozostawił tyle materiału, że wystarczyło go odpowiednio zredagować, albo Brandon Sanderson tak doskonale naśladował styl Jordana. Tylko przy jednym rozdziale miałem pewność, że jego autorem jest Sanderson. Był to rozdział 34 zatytułowany "Legendy". Ten typ humoru to wizytówka Sandersona. Na tle całego tomu rozdział 34 wyróżniał się zdecydowanie na plus.

Żałuję, że Sanderson nie pozwolił sobie w innych rozdziałach na większą swobodę wobec dziedzictwa Jordana. Szczerze mówiąc: chwilami podczas lektury chyba czułem znużenie całym cyklem! To trochę za dużo tomów i zbyt wiele stron oczekiwania na finałowe rozstrzygnięcie. Z rozrzewnieniem wspominam pierwsze tomy, bo nosiły znamiona świeżości. Wprowadzały coś nowego, choć odwoływały się w pewnym sensie do dorobku innych twórców fantasy. Po tylu latach nadal wprawdzie kontynuują lekturę cyklu, ale to już nie te same emocje, co kiedyś. A mimo to – niecierpliwie czekam na kolejny tom.

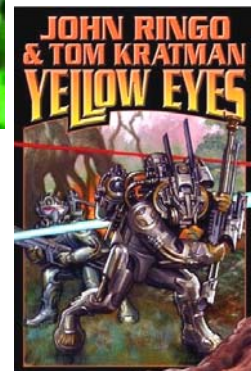
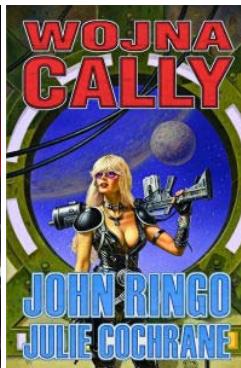
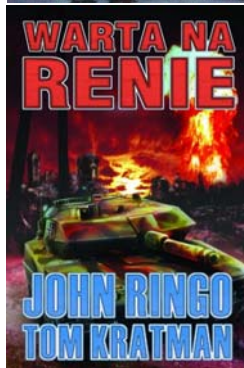
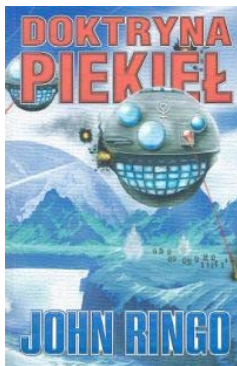
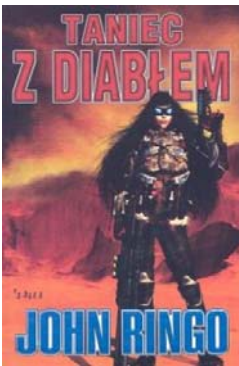
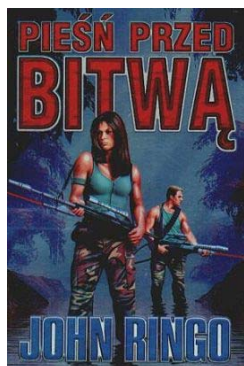
Karol Ginter
karolginter.pl

GDZIE SĄ KSIĄŻKI Z TAMTYCH LAT...? (8)

Nadal pozostajemy przy wydawnictwie ISA i Johnie Ringo.

W latach 2002–2008 ISA wydała siedem tomów cyklu military SF *Dziedzictwo Aldenata* (inna nazwa: *Wojna z Posleenami*):

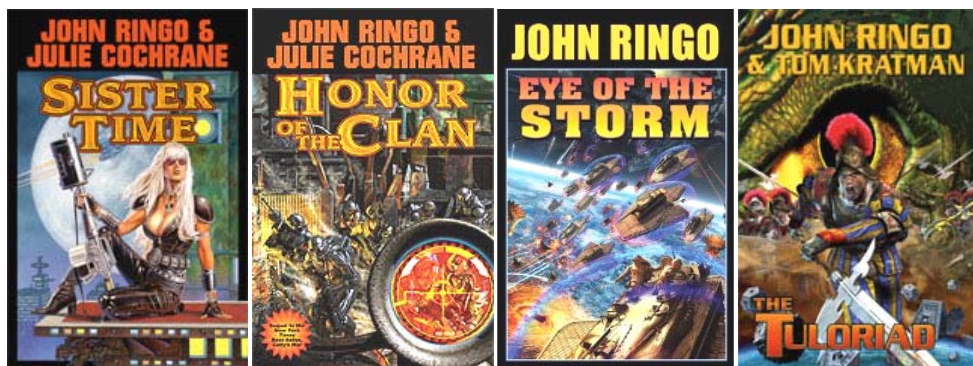
- *Pieśń przed bitwą* (*A Hymn Before Battle*, 2000) 2002;
- *Pierwsze uderzenie* (*Gust Front*, 2001) 2004;
- *Taniec z diabłem* (*When the Devil Dances*, 2002) 2005;
- *Doktryna piekiel* (*Hell's Faire*, 2003) 2005 – uzupełnienie tomu trzeciego *Taniec z diabłem* (który, jak pisze sam autor, został niedokończony z powodu ataku na wieżę World Trade Center);
- *Bohater* (*The Hero*, 2004) (wspólnie z Michaeliem Z. Williamsonem) 2008;
- *Wojna Cally* (*Cally's War*, 2004) (wspólnie z Julie Cochrane) 2007;
- *Warta na Renie* (*Watch on the Rhine*, 2005) (wspólnie z Tomem Kratmanem) 2007.



Pozostało do wydania jeszcze pięć tomów cyklu:

- *Yellow Eyes* (2007) (wspólnie z Tomem Kratmanem);
- *Sister Time* (2007) (wspólnie z Julie Cochrane);
- *Honor of the Clan* (2009) (wspólnie z Julie Cochrane);
- *Eye of the Storm* (2009);
- *The Tuloriad* (2009) (wspólnie z Tomem Kratmanem).

Nie liczę już na ISE, która raczej nie ma szans na pełną reanimację. Ale może inne wydawnictwo dokończy ów cykl?



W 2006 roku ISA wydała pierwszy tom cyklu *William Weaver – W lustrze* (*Into the Looking Glass*, 2005). Dalsze tomy to:

- *Vorpall Blade* (2007) (wspólnie z Travisem S. Taylorem);
- *Manxome Foe* (2008) (wspólnie z Travisem S. Taylorem);
- *Claws That Catch* (2008) (wspólnie z Travisem S. Taylorem).



Można by ciągnąć tę rubrykę prawie w nieskończoność, jako że praktycznie wszystkie wydawnictwa popełniły grzech rozpoczęcia i niedokończenia jakiegoś cyklu (czy to SF, czy fantasy).

Rozważaliśmy w klubie możliwości, aby dowolne wydawnictwo podjęło się syzyfowej pracy skończenia cyklów – ale marne są na to szanse. Zaprzyjaźniony ze mną szef pewnego sporego wydawnictwa wręcz mnie wyśmiał.

Wracam więc do mojego pomysłu z przed lat: dokańczanie cykli przez Dział Wydawniczy GKF. Oczywiście, nie stać nas (tj. GKF) na wykładanie pieniędzy na niepewne przedsięwzięcie. Pozostaje więc metoda zapisów i przedpłat. Koszty samego druku będą stosunkowo niewielkie. Np. przy nakładzie 100 egz. i formacie zbliżonym do A5 – koszt druku jednego egzemplarza nie przekroczyłby 9 zł! Dojdą jeszcze koszty autorskie i tłumaczenia. Końcowa cena książki będzie również zależeć od liczby chętnych.

Zakładam, że formatowanie, adiustacja i cała praca redaktorska zostaną wykonane nieodpłatnie przez ekipę Działu Wydawniczego. Również zakładam, że znajomi graficy wykonają nieodpłatnie projekty okładek...

Krzysztof Papierkowski

Patrząc z ukosa (9)

SA WŚRÓD NAS



Tak, tak, nie jesteśmy sami na Ziemi. Obcy żyją wśród nas... A oto szczegóły.

Jak napisałem w poprzednim odcinku, cytując przekaz Szarych, od pewnego czasu na Ziemi rodzą się dzieci z podrasowanym przez nich genotypem. Z drugiej strony nasze, ludzkie źródła donoszą o niezwykłym potomstwie całkiem zwykłych rodziców, zwanym *Dziećmi Indygo* i *Dziećmi Kryształowymi* z powodu nietypowych kolorów aury (zob. np. strony <http://wolnemediamedia.net/ezoteryka/dzieci-indygo-sa-wsrod-nas/> lub <http://www.integra.boo.pl/dziecinowejerjery.html>). Pierwsze z nich rodzą się od lat 70. Bardzo szybko się rozwijają (IQ około 130, jedno z nich w wieku 8 miesięcy mówiło pełnymi zdaniem), lecz nie uznają autorytetów i nie chcą zajmować się tym, co ich nie interesuje, miewają więc kłopoty w szkole. Często błędnie diagnozuje się u nich zespół nadpobudliwości psychoruchowej (ADHD), sprowadzając je do parteru przy pomocy środków farmakologicznych. *Dzieci Kryształowe* natomiast rodzą się od przełomu wieków i są zupełnie inne: spokojne i wyrozumiałe, a ich oczy są głębokie i mądre. Mają zdolności telepatyczne i z tego powodu później niż zwykle zaczynają mówić. Także i na nie znaleźliśmy sposób: często stwierdza się u nich autyzm, co zapewne jest przyczyną „epidemii” tej choroby w ostatnich latach. Jak widać – nasza skłonność do niwelowania różnic przewyższa nasze poszanowanie indywidualności.

Czy są to właśnie te dzieci, o których mówił przekaz channelingowy? Wydaje się to możliwe, ponieważ dwie niezależne informacje dobrze do siebie pasują. Co jednak sądzić o z pozoru podobnym, lecz bardzo dziwnym i niepokojącym, zjawisku tzw. *dzieci o czarnych oczach* (*Black Eyed Kids*), o których można przeczytać np. na stronie <http://www.ipi-x.tk/artikul-198-tajemnicze-dzieci-o-czarnych-oczach.html>, a także <http://www.paranormalium.pl/inwazja-czarnookich-obcy-demony-czy-moze-normalni.578,8,artikul.html>? Nazwa funkcjonuje od 16.I.1998 r., kiedy to dziennikarz Brian Bethel opisał swoje spotkanie z dziećmi o jednolicie czarnych oczach. Budzą one niepokój, często wręcz paniczny strach, a jednocześnie chęć poddania się ich woli (przy tym uczucia te nie są związane tylko z oczami, gdyż często pojawiają się, zanim zauważy się ich niezwykły wygląd). Charakterystyczne jest to, że nie mogą wejść do czyjegoś domu lub np. samochodu bez zaproszenia, o czym zresztą bez skrępowania mówią, dlatego ludzie kojarzą je z istotami demonicznymi. Pospekulujmy. Pozwolenie na wejście do domu/samochodu to symboliczne zaproszenie do swojej rzeczywistości, co zapewne pociąga za sobą możliwość uprowadzenia do ICH rzeczywistości. Czy nie tak zachowują się Szarzy? Jeśli dodać do tego wielkie, czarne oczy... podobieństwo tych dzieci do Szarych staje się uderzające. Czy są to więc hybrydy, czy też panoszący się jawnie w naszym świecie Obcy, udający tylko ludzkie osobniki? Nie wiem tego, lecz przynajmniej jedno doniesienie mówi o konkretnym dziecku pewnej konkretnej ludzkiej rodziny, co wskazywałoby raczej na pierwszą możliwość.

Na ogół spotkania z Szarymi odbywają się w odmienionych stanach świadomości, a więc w rzeczywistości niefizycznej, którą zamieszkują. Wiadomo jednak, że część

tych istot żyje na stałe w świecie, który uważamy za jedyny prawdziwy. Z takim osobnikiem można się więc spotkać na jawie, podobnie jak z dzieckiem o czarnych oczach. A co się wtedy czuje – przedstawiam poniżej...

Relacja, którą obszernie zacytuje, ukazała się w *Nexusie* 4/2010 w dziale *Strefa mroku*, a spisana została przez znaną z rzetelności dziennikarkę Lindę Moulton Howe (autorkę m.in. filmu *Strange Harvest* opowiadającego o okaleczeniach bydła, zwykle wiązanych z działalnością Obcych ...lub rządu USA). Jej rozmówcą był emerytowany oficer AFOSI (*Air Force Office of Special Investigations*), będącej (według jego słów) wygodną przykrywką wywiadu USA na całym świecie. Ów oficer, John Smith (powiedzmy), był przydzielony do jednostki zajmującej się działalnością Obcych. Miała ona kontakt z Szarymi; zarówno radiowy, jak i fizyczny. Pewnego dnia został wezwany na miejsce lądowania ich pojazdu, a szef powiedział mu, co następuje:

Najwyższy czas, byś zrozumiał, na czym polega telepatyczny przekaz od Szaraka. Jeden z nich zgodził się przeprowadzić demonstrację. (...) Na początku będziesz znajdował się w odległości kilku metrów od niego, ale ktoś z nas będzie cały czas blisko ciebie, tak żebyś się nie bał. To jest bezpieczne, ale możesz zemdleć. Dlatego cię uprzedzam. Kiedy zobaczysz Szaraka, wiedz, że zgodził się trzymać stopy na ziemi. W normalnych warunkach wolą unosić się nad nią, ale wiedzą, że to przeraża ludzi. (...) Kiedy ten Szarak zbliży się do ciebie na odległość kilku stóp, twój cały organizm będzie chciał uciekać. (...) Każda komórka twojego ciała będzie rwała się do ucieczki, ale nie wolno ci tego zrobić. (...) Przypuszczalnie będziesz miał wrażenie, że zaraz zemdlejesz, ale nie zrób tego! Jeśli jednak do tego dojdzie, złapiemy cię, nie chcę jednak, byś mdlał, wymiotował lub zaczął uciekać. Czy to jasne? Potem Szarak zacznie podnosić głowę, żeby spojrzeć ci w oczy. Wtedy stracisz kontrolę nad sobą i swoim umysłem. Musisz pozwolić, aby to się stało. Dzięki temu dowiesz się, dlaczego ludzie nigdy nie usiądą przy kawie razem z tymi facetami, żeby pogadać sobie o wszechświecie.

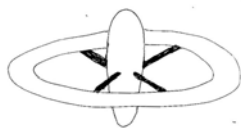
Jak łatwo zgadnąć, John Smith uznał, że szef przesadza; okazało się jednak, że ani trochę. Co prawda dzielnie stawiał czoła konfrontacji, na końcu jednak faktycznie zemdlał. Jeśli zaś chodzi o komunikat telepatyczny, to natok informacji był tak wielki, że sensu całości nie rozumiał. Wiedział jednak, że jego umysł na jakimś poziomie wchodzi w interakcję z przekazem, dostrzegł bowiem tworzenie się pewnych wątków będących jakby odpowiedziami na pytania. Trudno doprawdy o dobitniejszą demonstrację faktu, że ludzki umysł bynajmniej nie tworzy jednej całości.

W tym samym wywiadzie pada stwierdzenie, że istoty zwane *Nordykami* są tak podobne do ludzi, że mogą spacerować po zatłoczonych ulicach nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Jak pisałem w szóstym odcinku, taką osobę spotkał Ingo Swann w całkiem banalnym supermarkecie. Według różnych źródeł także inne istoty tłumnie odwiedzają Ziemię, muszą jednak stosować coś w rodzaju kamuflażu. Moja znajoma opowiadała mi kiedyś, że widziała osobę zdecydowanie za wysoką, aby mogła być człowiekiem. Interesujące w tej historii jest to, że inni świadkowie jakby nie dostrzegali niczego niezwykłego, więc być może widzieli co innego, niż ona. Pewnym wytłumaczeniem może być fakt, że owa znajoma jest bioenergoterapeutką, więc jest wyczulona na rzeczy niewidzialne (potwierdza to inna jej opowieść, która jest jednak z całkiem innej beczki). Także i mnie spotkała kiedyś dziwna przygoda tego typu. Długo wahałem się, czy o niej pisać (a kot Schrödingera patrzył na mnie z wyrzutem), gdyż ilekroć o niej myślę, wydaje mi się, że uległem jakiemuś osobliwemu złudzeniu. Otóż w samym centrum miasta, z całkiem sporej odległości, dostrzegłem osobę, której

kolana zginały się po ptasiemu w przeciwnym kierunku (jak w filmie *Arrival*), co widziałem wyraźnie z profilu. Wydawałoby się, że naturalną reakcją byłoby podejść i sprawdzić. Zamiast tego odwróciłem się i poszedłem inną drogą, gdyż poczułem niezrozumiały strach. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdybym podszedł. Może po prostu znalazłbym się w zasięgu kamuflażu i stwierdziłbym, że się pomyliłem – a może nie. Jakoś jednak nie żałuję, że tego nie zrobiłem.

Bardzo znany i szanowany szaman Zulusów z RPA, Vasamazulu Credo Mutwa, twierdzi, że przynajmniej część istot, zwanych przez nas Obcymi, mieszka stale na Ziemi. Obszerny wywiad z nim na ten temat można przeczytać na stronie internetowej <http://davidicke.pl/index.php/artykuly/40-credo-mutwa/72-credo2.html> bądź w trzech kolejnych numerach *Nexusa* (4-6/2006, dział *Strefa mroku*). Opowiada w nim między innymi o podziemnych gadokształtnych istotach inteligentnych, porywających ludzi, zwanych w ufologii *Reptilianami*, a w Afryce znanych jako *Chitauli*. Według jego oceny Szarzy są rasą służących-biorobotów *Chitauli* (stąd ich bezduszość – dosłowna i przenośna). Relacja z własnego uprowadzenia przez takie istoty do ich siedziby, prawdopodobnie podziemnej, dobrze pasuje do opisu działalności tzw. *negatywnych Szarych*, o których wspominałem uprzednio. Według afrykańskich legend, Reptilianie przybyli na Ziemię w zamierzczłych czasach, kiedy wszystko spowijała mgła i nie było widać nieba, i są odpowiedzialni za *pomieszczenie języków* (tj. nauczenie ludzi mowy, a odebranie im zdolności telepatycznych). Żywią się negatywnymi emocjami ludzi, a czasem bezpośrednio ich krwią, jeśli uprzednio została nasycona przerażeniem ofiary. Dlatego są zainteresowani wzniecaniem konfliktów i wojen na świecie. Mogą to podobno czynić osobiście, ponieważ są zmiennokształtni. Wysoce kontrowersyjny dziennikarz David Icke (którego personalia można wypatrzyć w powyższym adresie) wymienia wręcz konkretnych przywódców, którzy według niego są Reptilianami – jest to m. in. powszechnie nielubiany George W. Bush, ale także, nie wiadomo czemu, cała dynastia windsorska z królową Elżbietą II na czele. Wszystko to razem przypomina scenariusz serialu *V*, a zwłaszcza jego najnowszej edycji, w której tzw. *Goście obecni* są na Ziemi od dawna, wiele lat przed ich oficjalnym przybyciem.

O Reptilianach pisze też sporo Courtney Brown w książce *Cosmic Explorers*, która nie została przetłumaczona na język polski. Z tego, co zrozumiałem, wynika, że przejawiają oni nadzwyczajne zainteresowanie Ziemią i są stale obecni w jej pobliżu. Podczas jednej z sesji teleobserwacji (*remote view*) narysował ich bazę (obok), która, jak mu się wydaje, znajduje się gdzieś między Ziemią a Księżycem. Drugi rysunek przedstawia Reptilianina, którego skóra, według opisu Courtneya Browna, ma



wzorzystą strukturę o pomarańczowych i zielonych odcieniach. Natomiast różne ładne obrazki, które można znaleźć w Internecie (np. w *Wikipedii*) są najpewniej fantazjami, bądź (delikatniej mówiąc) wizjami artystycznymi. Według Credo Mutwy jest kilka typów Reptilian. Jeden z nich ma wyrostki kostne przypominające rogi – są to wojownicy, ponoć łądząco podobni do Darth Maula z *Gwiezdnych Wojen*. Tak zwani *królewscy Chitauli* nie mają rogów, lecz ciemny grzebień sięgający od czoła po plecy, a *zamiast małych palców bardzo ostre szpony, które wsadzają w nosy swych ofiar, aby wypić ich mózgi w czasie niektórych rytuałów*. Skórę mają białą, nieomal jak papier,

i pokrytą, jak to u gadów, łuskami. Są eleganckie, o wysokich czołach, i wyglądają na bardzo inteligentne. Wszystkie typy Reptilian posiadają ogony. Jeśli dodać do tego, że żyją pod ziemią wśród licznie rozpalonych ogni i towarzyszy im zapach siarki, widać wyraźnie, że są archetypem istot diabelskich, a ich miejsce zamieszkania – piekła. Courtney Brown uważa grupę Reptilian kojarzonych z Ziemią za renegatów, przejawiających wojenną agresję wobec zasadniczej populacji Szarych. Ponieważ nie wie, z jakiego miejsca czasoprzestrzeni pochodzą te istoty (nie ma bowiem żadnych ograniczeń dla zasięgu ich pojazdów), otwiera szerokie pole do spekulacji. Według mnie jest całkiem możliwe, że Reptilianie są potomkami ziemskich dinozaurów, dlatego też uważają naszą planetę za swoje prawowite dziedzictwo.

Całkiem spora grupa Obcych na Ziemi przebywa tu w ludzkich ciałach. Są to tak zwani *Wędrowcy*, czyli pozaziemskie dusze, które narodziły się jako przedstawiciele naszego gatunku biologicznego w celu przyspieszenia ewolucji ludzkości. Według *Materiałów Ra* – o których napiszę następnym razem – są tu obecni od 25 tysięcy lat, choć część z nich debiutuje dopiero teraz (ci są często bardzo naiwni w specyficznie ziemskich sprawach). Scott Mandelker, autor książki *From Elsewhere (Nie z tej Ziemi, LIMBUS 1996)*, który jest jednym z nich, szacuje ogólną liczbę Wędrowców (przy pomocy *Materiałów Ra*) na około 100 milionów. To całkiem pokaźna liczba, tworząca stowarzyszenia i strony internetowe (np. <http://www.swietniwedrowcy.pl/index.php>). Decydując się na ludzkie wcielenie obca dusza podlega obowiązującym tu wszystkich ograniczeniom, co oznacza utratę pamięci (związaną z prawem wolnej woli), a także zdolności parapsychicznych. Większość Wędrowców pozostaje więc przez całe życie w stanie uśpionia, część natomiast przeżywa męki psychiczne związane z tożsamością: czują, że tu nie pasują, a ich prawdziwy dom jest zupełnie gdzie indziej. Mandelker przytacza historie przebudzenia wielu z nich, a także własną – poprzez morderczy trening w buddyzmie. W swojej książce zamieszcza też test na Uśpionego Wędrowca, a inną jego wersję można znaleźć na powyższej stronie internetowej. Wśród różnego typu pytań są tam także dotyczące zainteresowania SF, UFO, Atlantydą itp., dlatego polecam go wszystkim Czytelnikom (ja sam zostałem zaliczony do grupy pośredniej, której patronuje nasz kot Schrödingera). Oprócz Wędrowców żyją też na Ziemi *Ci-Którzy-Weszli*, czyli pozaziemskie dusze – zajmujące ciało człowieka, którego dusza postanowiła odejść. Odchodząca dusza pozostawia swoje wspomnienia, a wchodząca jest ich pozbawiona, dlatego moment wejścia jest zapamiętany jako powstanie nowej, dodatkowej osobowości. Ta nowa osoba najpierw kończy sprawy swej poprzedniczki, by potem przejść do realizacji własnych, zupełnie innych celów.

Na koniec warto zauważyć, że według *Materiałów Ra* większość z nas to w istocie Obcy. Podobno tylko jedna czwarta ludzkiej populacji jest tutejszego, ziemskiego pochodzenia, połowa zaś pochodzi z Marsa, a reszta z innych miejsc. Kiedyś na mojej stronie internetowej wyraziłem zdziwienie z powodu dość powszechnej fascynacji Marsem i zażartowałem sobie, że sam czuję się trochę Marsjaninem. A jeśli to jednak wcale nie był żart?...



Andrzej Prószyński

<http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/inny.html>

Stereo i w kolorze 024

Wykład, który prawie dokładnie tydzień temu, w piątek drugiego marca AD 2012, wygłosiła w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego Maja Kossakowska-Grzędowicz, jak dobrze wymierzony prosty przebił gardę, zza której od jakiegoś czasu wyprowadzałem ciosy w polską popfantastykę. Nie czuję się znokautowany – ale przyznaję, że przyda mi się te parę chwil w narożniku. Kiedyś trzeba ochłoniąć, odzyskać oddech, może nawet nieco zmienić taktykę?

Owszem, jest przecież tak, że uczynienie z SUKCESU (patrz poprzednie Stereo) kryterium nadrzędnego czyni wszystkie inne kryteria podrzędnymi – i to ma prawo się nie podobać, prawda? Owszem, jest tak, że dla SUKCESU częściej, niż miałyby to prawo się nam podobać, świadomie rezygnuje się z tego, co uważa się za przeszkodę w odniesieniu sukcesu – z fatalnymi skutkami, vide George R.R. Martin. Powiedzmy wreszcie sobie i to, co od dłuższego czasu wymaga powiedzenia: gorsza moneta wypiera lepszą, przyjacielu, i – jeśli chcesz wyprzeć – niech ręk na klawiaturze nie krępuje cię mit jakości.

Dobrze, ale co się dzieje z kimś – w naszym przypadku z pisarzem – który odniósł sukces? Wyzwolił się z kaftana bezpieczeństwa wątpliwości i ciągłych prób udowadniania wszystkim, że nie byle kto on i że potrafi? Czy musi być zasadą powtarzanie formuły przez kolejne tomy, aż do ich tuzina, aż do ich kopy?

Oczywiście dla mnie byłoby najlepiej, gdyby ta prawidłowość obowiązywała w sposób żelazny, bo kto lubi komplikować sobie życie? Więc gdyby Maja Kossakowska strzelała aniołami, do których mam stosunek ambiwalentny, w tempie dwa tomy rocznie, byłbym intelektualnie usatysfakcjonowany.

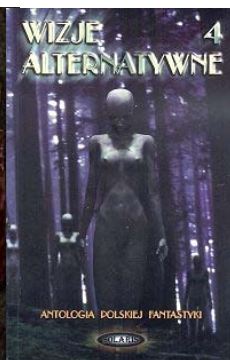
Rachunek by mi się zgodził.

Ale nie: wysłuchanie wykładu Majki zmusiło mnie do umieszczenia w innym kontekście „Rudej sfory”. Narzuciła inny sposób lektury „Upiora południa”. Odebrała „Zwierciadłu” wątpliwą przyjemność bycia wyjątkiem.

Owszem, nadal sądzę, że SUKCES to kategoria żałośnie niedoskonała, tania, dwuwymiarowo płaska. Ale... no właśnie, czy jest też czymś, co zabija inne kategorie, czy też przyprawą poprawiającą smak. Zgoda, zapewne jednym i drugim, ale w takim razie... w jakich proporcjach?

Oto coś, nad czym, jak sądzę, naprawdę warto się zastanowić.

Krzysztof Sokołowski



GKF RATUJE CYWILIZACJĘ ZIEMSKĄ

Pod koniec ubiegłego roku Zarząd GKF powołał zespół specjalistów o kryptonimie FoE (z ang. Friends of Earth), mający na celu zapobieżeniu zagładzie cywilizacji ziemskiej (ZCZ) w dniu 21 grudnia 2012 roku. FoE określił prawdopodobieństwo zagłady na $PZCZ=0,997$. Wdrożono szereg programów zmierzających do zmniejszenia PZCZ.

Jeden z programów oparto na zasadzie „zmylenia przeciwnika” (bogów, szatana, natury, fatum – nazwa obojętna, niech będzie Fatum). Dlatego styczniowy numer „Informatora” otrzymał datę „styczeń 2011”. Nasi specjaliści obliczyli, że każdy dzień niewykrycia błędu przez przeciętnego członka GKF skutkuje obniżeniem PZCZ o 0,0054.

Cały projekt był tak poufny, że nie wtajemniczono weń nawet RedNacza naszego klubowego periodyku. Niestety, podczas lutowego posiedzenia Zarządu GKF wiceprezes Tandi wykryła nasz przekręt – i ten element programu zmylenia Fatum uległ zakończeniu. Trwają jeszcze dyskusje, czy Tandi można nazwać członkiem przeciętnym oraz jak uwzględnić fakt, iż jest ona psychologiem.

Tak czy inaczej: PZCZ uległo zmniejszeniu do $0,884\pm 0,01$, a może jeszcze bardziej. O końcowych wynikach wszystkich programów będziemy informować (jak doczekamy!).

pak

ATAK CHOCHLIKÓW 2012

Może faktycznie świat powoli zaczyna się rozpadać, niczym w *Najdalszym brzegu* Le Guin lub w *Niekończącej się opowieści* Endego... Symptodem mogą być problemy z naszą obecną, niezawodną dotąd, drukarnią. W styczniowym „Informatorze” poznikało w wydruku nieco literek. W „Informatorze” lutowym usterka dotknęła jedynie połowę nakładu, ale za to była poważniejsza. Otóż zamiast wstępniaka poświęconego Lewkonowi oraz dokończenia nad stopką felietonu z cyklu „Stereo i w kolorze” – część Czytelników otrzymała powtórzone (tyle że w czerni i bieli) okładki zewnętrzne. Racjonalisci mogą się pocieszać, że Print Group ma jakieś techniczne problemy z zakupioną niedawno nową maszyną drukarską. Zaś wszystkich odsyłam niezmiennie na stronę internetową naszego klubu, gdzie oba „Informatory” są dostępne w wersji kompletnej! Inny błąd jest już naszą winą. A mianowicie „Informator” nr 274 ma w nagłówku: styczeń... 2011. Papier wprawdzie twierdzi powyżej, iż takowy zapis był jakimś chytrym planem na początek ostatniego roku z kalendarza Majów. Mnie jednak zastanawia fakt, iż nikt z redaktorów „Info” (łącznie z niżej podpisanym) tego nie zauważył; niewłaściwą datę wypatrzyła dopiero na wydruku wiceprezes (wiceprezesa?) GKF-u. Czyżby uwaga panów została nazbyt skupiona na, świetnej zaiste, okładce autorstwa Krzyśka Chalika? Jest to chyba konkretny argument za wprowadzeniem parytetu również w naszej redakcji...

jpp

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR GKF #276

marzec 2012

ISSN 1505-8476

ADRES GKF: Gdańsk Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Krzysztof Chalik

DRUK : PRINT GROUP Sp. z o.o., <http://printgroup.pl>

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/Gdynia nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji



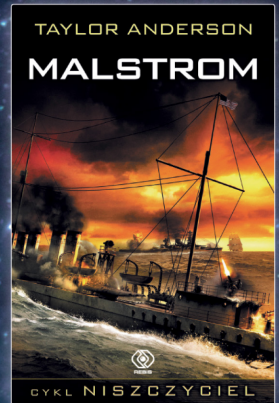
Radio ZET



Dwóm światom zagraża chaos. Siły zła szykują się do napaści na Midkemię, a szalony Leso Varen, najbardziej zdradziecki mag w dziejach, sieje spustoszenie na Kelewanie.

Polecamy *Lot Nocnych Jastrzębi* – I tom sagi.

Kolejną część przygód komisarz Malin Fors. W wybuchu bomby zginęły dwie dziewczynki, a ich matka została ciężko ranna. Malin musi poprowadzić śledztwo i znaleźć sprawcę, który może szykuje kolejny zamach...



Kolejny tom cyklu WOJOWNIK RZYMU z najemnikiem Balistą w roli głównej. Polecamy poprzednie tomy cyklu: *Ogień na Wschodzie*, *Król królów* i *Lew słońca*.

Trzeci tom steampunkowego cyklu LEWIATAN. Polecamy też poprzednie tomy cyklu: *Lewiatan* oraz *Behemot*.

Trzeci tom cyklu militarnej SF – NISZCZYCIEL. Polecamy poprzednie tomy: *W oku cyklonu* oraz *Krucjata*.



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań, tel. 61 882 38 31, rebis@rebis.com.pl, www.rebis.com.pl